MOJA BIBLIOTECZKA

I. WASILENKO

ARTIOMKA w CYRKU



NASZA KSIĘGARNIA

IWAN WASILENKO

ARTIOMKA W CYRKU

WYDANIE II



NASZA KSIĘGARNIA
WARSZAWA
1950

TYTUŁ ORYGINAŁU: „DIETSTWO AKTIORA"

PRZEŁOŻYŁ Z JĘZYKA ROSYJSKIEGO
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Nakład 25.500 egz. Objętość 4 ark.
Papier offsetowy 61 × 86 cm, 70 g.
Rękopis otrzymano 21. X. 1950 r.
Podpisano do druku 19. XII. 1950 r.
Druk ukończono w styczniu 1951 r.
K - 1 - 16471

Zakłady Graficzne im. Marcina Kasprzaka w Poznaniu 4039/10. 1950

Powieść „Artiomka w cyrku" — to historia prawdziwa, zaczerpnięta z życia jednego z wielkich artystów radzieckich. Prawdopodobnie zdziwi was, dlaczego mały chłopiec musiał sam zarabiać na życie, dlaczego dyrektor cyrku stale krzywdzi i poniża sympatycznego i dobrego Murzyna.

Artiomka zamiast łatać buty, powinien uczyć się w szkole. Murzyn, jeżeli był zdolnym aktorem, powinien grać główne role. Prawda? Tak uważacie? Ale akcja opowiadania toczy się w czasach dawnych, przed pierwszą wojną, przed rewolucją w Rosji. Wtedy, za carskich czasów, nikt nie opiekował się takimi zdolnymi chłopcami, jak Artiomka. Nie miał rodziców, nie miał pieniędzy, więc nie mógł się uczyć. Dyrektor cyrku krzywdził Murzyna dlatego tylko, że był Murzynem.

I dopiero Wielka Rewolucja Październikowa obaliła w Rosji cara i sprawiła, że wszyscy ludzie stali się równi bez względu na to, jaki mieli kolor skóry i jakim mówili językiem. Dopiero po rewolucji państwo zaopiekowało się młodzieżą i umożliwiło jej naukę. Artiomka został słynnym artystą. A jakie miał ciężkie dzieciństwo, o tym dowiecie się z powieści.

REDAKCJA

SOLIDNE WYNAGRODZENIE

Wydarzyło się to Artemijowi Nikiticzowi, znakomitemu artyście radzieckiemu, kiedy nie był jeszcze Artemijem Nikiticzem, ale po prostu Artiomką. I zaczęło się od tego, że znalazł on pantominę[1]). Szedł od strony morza gdzie łowił byczki[2]), i znalazł ją. Pantomina leżała w piasku niedaleko brzegu, wystawał tylko skrawek. Artiomka pociągnął zań — książka! Rozwinął, a druk jakiś dziwny: litery duże, rzadkie i nie czarne, ale niebieskie.

„Co to takiego? — pomyślał Artiomka. — Książka jakaś, ale nie taka, jak inne...“

Wziął ją pod pachę i przyniósł do siebie do budki.

Budka Artiomki stała na targowicy wśród podobnych pochylonych i zakopconych budek. Zachował się jeszcze na niej szyld ojca: but i napis ręczny „Majster Nikita Zagorujko pszyjmuje zamuwienia i naprawia“. Ale wszyscy wiedzieli, że Nikita Zagorujko umarł dwa miesiące temu i obuwie do naprawy zanosili do innych budek. Jeśli trafiali się tacy, którzy nie wiedzieli o śmierci Nikity, to postali chwilę, pokręcili głowami na widok chłopca: że niby kto go tam zna, jeszcze popsuje malec — i odchodzili. Przykro było: przecież Artiomka mógł nie tylko wstawić łatkę, ale przystębnować nowe nosy, a tu nie mają zaufania. Gdyby nie wędka — umarłoby się z głodu.

---

[1]) pantomina — przedstawienie sceniczne bez słów. Akcja przedstawiona jest jedynie za pomocą gestów.

[2]) byczki — gatunek ryb.

Artiomka oczyścił byczki, obtoczył je w mące i położył na patelni. I wtedy, schyliwszy głowę, aby nie nabić guza, wszedł nauczyciel Borys Mikołajewicz, który uczył Artiomkę w szkole parafialnej.

— Potrafisz nabić obcasy?

Artiomka ucieszył się, ale nie dał tego poznać po sobie. Wziął pantofle, obrócił podeszwą do góry i obejrzał rzeczowo.

— Można — powiedział, jak zwykł mawiać ojciec.

— A długo będziesz robił?

Artiomka chciał skłamać, że będą gotowe dopiero na jutro wieczór, że ma dużo terminowych zamówień, ale nie wytrzymał: zatęsknił bardzo za robotą.

— Ależ zaraz zrobię to przy panu — powiedział.

Artiomka obstrugiwał ostrym nożem skórę na podeszwie, a nauczyciel siedział na pieńku i palił papierosa.

— A więc mieszkasz samotnie? — spytał nauczyciel.

— Tak, Borysie Mikołajewiczu, mieszkam.

— No, a jak zarabiasz? Na życie starczy?

Artiomka miał ochotę użalić się na nieufnych klientów, ale duma nie pozwoliła.

— Sam pan wie, jakie dzisiaj czasy: nie da się żyć, jak należy — powiedział słowami ojca. — No, ale jednak żyje się. Komu raz naprawię, ten już do innego nie pójdzie.

— Ta-ak... — rzekł nauczyciel zamyślony — ty urośnij prędzej i ożeń się. Bo cóż tak...

Artiomka nic nie odpowiedział. Nauczyciel wziął ze stołu zakurzoną książkę i przeczytał głośno:

— „Taras Bulba. Pantomina według opowiadania M. W. Gogola". Co takiego, pantomina? — zdziwił się. — Skąd to masz?

— A znalazłem w piasku nad morzem. Chciałem sobie poczytać, ale czy to znajdziesz wolną chwilę przy pracy!

— Poczekaj — rzekł nauczyciel. — Co to ja czytałem niedawno? No, tak, właśnie, w gazecie było ogłoszenie cyrku:

„Zgubiono pantominę „Taras Bulba". Znalazcę prosimy o zwrot. Solidne wynagrodzenie". To jasne, że to właśnie ona. Zanieś ją do cyrku i pamiętaj, nie daj się okpić.

Artiomka z ciekawością spojrzał na książkę.

— A co to znaczy — solidne?

— Solidne? To znaczy — dobre, nie krzywdzące tego, kto przyniesie. Pięć rubli, a może i dziesięć.

Po odejściu nauczyciela Artiomka wziął z półki małe lusterko i długo przyglądał się sobie: oczy zielone jak u kota, nos zadarty i żółte, wyblakłe na słońcu włosy — nie, dziesięciu nie dadzą.

Przygładził włosy szczotką, starannie zawinął książkę w gazetę, tak jak to zrobił z trzewikami, kiedy ojciec posyłał go, aby je zaniósł klientowi, i poszedł do cyrku.

Cyrk był okrągły, drewniany i duży. Ponieważ oprócz niego na całym placu nic więcej nie było, wyglądał przez to bardzo okazale. Na ścianach przy wejściu wisiały afisze, a na afiszach widać było półnagich ludzi z nabrzmiałymi mięśniami, stojące na tylnych nogach konie, rudego człowieka w jaskrawym szlafroku wywracającego koziołki. Brama cyrkowa była otwarta i Artiomka wszedł do lokalu, gdzie stały stoliki bufetowe z pseudomarmurowymi blatami. Malinowa aksamitna kotara zasłaniała dalsze wejście. Artiomka postał nadsłuchując. Nikogo. Nawet okienko kasy zasunięte. Cichutko uchylił kotary — zapachniało świeżymi trocinami i stajnią. Zrobiwszy kilka kroków naprzód Artiomka zobaczył okrągłą płaszczyznę ogrodzoną niewysoką barierą, a za barierą wokół płaszczyzny wznosiły się drewniane ławki wciąż wyżej i wyżej, omal że nie do samego sufitu. Artiomce aż się zakręciło w głowie — tak ich było wiele.

A nad podłogą, wysoko jak w cerkwi, na grubych niebieskich sznurach wisiał trapez.

„Więc to właśnie jest cyrk — pomyślał Artiomka. — Ogromny!"

Naprzeciw rozchyliła się portiera i wyskoczył stamtąd mały, łysy człowiek. Odbił się nogami o barierę, podskoczył, obrócił się w powietrzu i usiadł na trocinach, którymi była posypana okrągła podłoga.

— Dobry wieczór! Jak się pan miewa?

Artiomka zdziwił się: był jeszcze dzień. Odpowiedział jednak:

— Dziękuję. Tak sobie.

Człowiek prędko odwrócił głowę w jego stronę, wstał i powiedział gniewnie:

— Dureń!

Artiomka obraził się.

— Nie jestem dureń. Przyniosłem pantominę za solidnym wynagrodzeniem.

— Jaką pantominę? — nachmurzył się łysy człowiek.

Podszedł, wziął książkę z rąk Artiomki i rozwinął ją.

— Aha! O to chodzi. A więc znalazła się. No, zanieś ją szefowi. O, tam — wskazał portierę.

Artiomka podszedł do portiery, a mężczyzna szybko wsunął głowę i ręce pod nogi, zakwakał i zaczął jak żaba skakać dokoła.

„To ci dziwak“ — pomyślał Artiomka.

Już wyciągnął rękę, żeby rozsunąć kotarę, lecz w tej chwili rozchyliła się ona sama: ogromna białoróżowa świnia przemknęła na arenę i omal że nie przewróciła Artiomki. Łysy pisnął, wskoczył na świnię i schwycił ją rękoma za uszy. Świnia, kwicząc przeraźliwie, pomknęła wkoło areny, a łysy zaszczekał, tak że Artiomka obejrzał się nawet, czy nie pędzi za nim pies.

„To ci cyrk“ — pomyślał Artiomka.

Rozsunął portierę, zrobił kilka kroków i zatrzymał się.

Na prawo i na lewo ciągnął się korytarz. Z któregoś miejsca przenikało skąpe światło dzienne. Artiomka po namyśle skręcił na prawo. Z jednej strony zarysowały się niewyraźnie

— A bo kradną?

— A co, może kładą? — dziad wskazał drzwi: — Idź tutaj, tu go znajdziesz.

Na drzwiach, podobnie jak i na szyldzie Artiomki, było napisane ręką i tak samo zapewne sadzami: „Dyrekcja".

Artiomka uchylił drzwi. Przy stole siedział smagły człowiek z garbatym nosem i stukał na liczydle.

— Ciego chcieś, chłopciku? — spytał szepleniąc jak dziecko.

— Przyniosłem pantominę za solidnym wynagrodzeniem — rzekł Artiomka i podszedł do stołu.

Mężczyzna wziął książkę i obejrzał ją uważnie.

— Gdzie znalazłeś?

— W piasku na brzegu.

— O, dobry chłopciku, dobry! No, idź!

— Dokąd?

— Do domu, zieby mama się nie niepokoiła.

— A wynagrodzenie? — zdziwił się Artiomka.

Z kolei zdziwił się mężczyzna.

— Jakie wynagrodzenie?

— Jakie? Solidne! — odpowiedział Artiomka.

— A-a! — przypomniał sobie dyrektor. — Można, można.

Umoczył pióro, napisał coś i podał Artiomce karteczkę papieru.

— Co to ma być? — spytał Artiomka, z niedowierzaniem patrząc na kartkę.

— Kontramarka. Przyjdziesz dziś wieczór na galerię. Bezpłatnie.

— I to wszystko?

— Wszystko — odpowiedział dyrektor.

— A pieniądze?!

— Pieniądze?! — dyrektor podniósł do góry brwi i wytrzeszczył oczy jak rak. — O, jaki niedobry chłopcik, jaki niedobry chłopcik, ca, ca, ca...!

Artiomka spojrzał, przypomniał sobie swoje odbicie w lustrze i podszedł ku drzwiom.

Nie można powiedzieć, żeby Artiomka zmartwił się bardzo. Oczywiście, pieniądze by mu się przydały: wychudł, no i wszystko się na nim darło. Ale dostać się na przedstawienie do cyrku, to też coś warte.

Zaledwie zaczęło zmierzchać, a już Artiomka krecił się przy cyrku i zaglądał przez wszystkie szpary. Było wcześnie, do cyrku nie wpuszczano nawet za biletami, a coż dopiero z kontramarką. Ale gdy ściemniało, publiczność zaczęła walić ze wszystkich stron do cyrku. Rozległ się głos dzwonka i ludzie sadowili się na swych miejscach. Ci, którzy byli lepiej ubrani i którzy przyjemnie pachnieli, szli na parter, a inni zaczęli wchodzić po schodach. Artiomka wspiął się również po schodach i pokazał kartkę. Bileter podniósł kontramarkę do samych oczu, obejrzał podejrzliwie Artiomkę, ale jednak wpuścił. Na galerii ludzie stali napierając na barierę. Artiomkę ściśnięto ze wszystkich stron, lecz nie zważał na to i chciwie patrzył na arenę.

Obecnie cyrk wydał mu się zupełnie inny niż za dnia. W dzień wszystko tu było puste, wszystko wydawało się szare, przybladkłe, a teraz oślepiająco płonęły ogromne, okrągłe latarnie i na wszystkich ławkach, od góry do dołu, siedzieli wystrojeni jak na święto ludzie.

Eleganckie kobiety wachlowały się. A gdy przy dźwiękach orkiestry dętej rozsunęła się aksamitna portiera, po obu stronach areny uszeregowali się ludzie w jednakowych czerwono-żółtych ubraniach i obok przecwałował gniady koń z białą grzywą i białym ogonem. Artiomka w przeczuciu czegoś nadzwyczajnego poczuł nawet chłód w piersiach. Z pewnością konia kąpano i czyszczono — taki był połyskliwy. Na koniu leżało niesłychanie szerokie siodło, a na siodle wyszyty kwiatami dywan.

Zaraz za koniem wybiegła piękna, jasna blondynka w niebieskiej sukni z cekinami. We włosach jej błyszczała i migotała różnymi kolorami gwiazda. Artystka skoczyła na konia i obu rękoma posłała wszystkim, Artiomce także, pocałunek. Woltyżerka tańczyła, stawała na głowie, skakała przez oklejoną różnobarwnym papierem obręcz, a na środku areny, jak nakręcony, wiercił się człowiek w szarym fraku i szarym cylindrze i trzaskał długim batem.

Potem czerwono-żółci ludzie zaczęli się krzątać, wyciągnęli dwie błyszczące podstawki i naciągnęli wysoko między nimi stalową linę. Wybiegła czarnowłosa dziewczynka. Wspięła się na górę po drabince i zaczęła się ślizgać po linie. Orkiestra zagrała walca. Dziewczynka w jednej i drugiej ręce trzymała duży, różowy wachlarz i kiedy tańczyła, wyglądała jak piękny motyl.

I wszystko, co Artiomka zobaczył tego wieczora na arenie, pozostało na zawsze żywe w jego pamięci: i zręczni żonglerzy z błyszczącymi kulami, i ognistoczerwony diabeł, od którego lotu dech zamierał w piersiach, i klowni, i zabawne niedźwiadki-muzykanci...

Gdy zjawił się łysy człowiek i zawołał: „Dobry wieczór! Jak się państwo czują?“ — Artiomka odpowiedział mu z galerii jak staremu znajomemu: „A no, nic! Żyjemy!“, co rozśmieszyło całą publiczność.

Ale najciekawsza była część trzecia. Gdy tylko muzyka zagrała, wszyscy wyciągnęli głowy, zaczęto nawet wstawać z miejsc. Na arenę wyszedł człowiek z ogoloną twarzą, ubrany w modny szary garnitur, ukłonił się i podniósł rękę. I natychmiast muzykanci posłusznie umilkli.

— Calvini, Calvini! — rozległ się szept wśród publiczności. Mężczyzna oświadczył dźwięcznym głosem:

— Siedemnasty dzień międzynarodowego turnieju walki francuskiej o tytuł mistrza świata i zdobycie wstęgi honorowej.

Podniósł znowu rękę do góry:

— *Parade! Allez! Maestro,* marsza![1])

Zahuczała orkiestra. Na arenę zaczęli wychodzić jeden po drugim półnadzy olbrzymi z niebieskimi, różowymi wstęgami na piersiach. Atleci szli dokoła areny krocząc sprężyście po wysypanych trocinach i każdy zatrzymywał się na określonym miejscu. A gdy ukazał się czarny olbrzym, Artiomka wychylił się nawet za balustradę. Calvini podniósł rękę — muzyka urwała się.

— Przedstawiam przybyłych zawodników — rzekł do publiczności.

Wykrzykiwał nazwiska atletów, a ci wysuwali się dwa kroki naprzód, kłaniali się i znowu wracali na swoje miejsce. Jednych publiczność oklaskiwała niedbale, innym krzyczała: „brawo!" i rzucała kwiaty.

— Zwycięzca turnieju międzynarodowego w Londynie — tu Calvini podniósł głos o ton wyżej — mistrz świata, Klemens... — Calvini zrobił pauzę, stanął na palcach i krzyknął:

— Hull!

Cyrk jakby zatrząsł się: tak wszyscy bili brawo.

Klemens Hull, połyskując białością ciała i uśmiechem, lekkim ukłonem dziękował publiczności i chwytał w powietrzu kwiaty.

Calvini poczekał, aż owacje ucichły, i wciąż podnosząc tak samo głos przedstawił:

— Zwycięzca turniejów międzynarodowych w Hamburgu, Rzymie, Bukareszcie, mistrz świata, czarny atleta Chamberse Pepse!

Pepse'a też powitano owacyjnie, ale kwiatów mu nie dano.

„Ech — pomyślał Artiomka z goryczą — dla czarnego to i kwiatów szkoda! Gdybym wiedział, przydźwigałbym mu cały krzak z różami..."

---

[1]) defilada! Naprzód! Kapelmistrzu, marsza!

Po defiladzie zaczęła się walka.

Z początku publiczność przyglądała się dość obojętnie, ale wszystko zmieniło się, gdy tylko na dywan wyszli mistrz Rosji Iwan Kreczot i atleta w niebieskiej masce na twarzy. Zamaskowany atleta przerzucił Iwana Kreczota przez biodro, głowę, podnosił na wyciągniętych do góry rękach i kręcił nim wściekle w powietrzu, gniótł, łamał i nie dawał mu chwili wytchnienia, ale Kreczot wyślizgiwał się, podnosił się nad przeciwnikiem i z kolei rzucał go na dywan. Calvini biegł dokoła zawodników trzymając w pogotowiu gwizdawkę i wykrzykiwał chwyty: „*Tour de hanche! Bras roulé!*[1]) Podwójny nelson!“ A na ławkach zrywano się z miejsc, krzyczano, gwizdano, oklaskiwano.

Cyrk zachwycił Artiomkę. W całym swym życiu nie widział tylu bogatych, jaskrawych strojów, tylu olśniewających wyczynów zręczności, ile zobaczył tego wieczora. Potem długo w nocy przewracał się w swej budce na drewnianej pryczy i w oczach jego wciąż się przesuwały niezliczone ławki, na których siedzieli wystrojeni ludzie.

Nazajutrz Artiomka znowu zjawił się w cyrku i udał się wprost do właściciela Greka.

— Ciego chcieś, chłopciku? — spytał ten nachmurzony.

— Niech mi pan da jeszcze bilet na galerię — poprosił Artiomka.

— O, jaki niegziećny chłopcik! Wciąż chodziś i chodziś...! Gospodarz otworzył drzwi i zawołał:

— Sawielij! Sawielij!

Przyszedł dziadek Szyszka, jak w myśli nazywał Artiomka stróża.

— Ciemu puściaś obcych? Wyprowadź chłopcika za kark.

— Akurat upilnujesz! — mruknął dziadek. — Włażą przez wszystkie dziury. Chodź.

---

[1]) francuskie nazwy chwytów zapaśniczych.

Dziadek szedł pierwszy, Artiomka za nim.

— Dziadku — powiedział Artiomka — daj, załatam ci but. Patrzaj, jaka dziurka.

— Także coś! — odpowiedział gniewnie dziadek, ale po chwili milczenia spytał już łagodnie: — A tyś może szewc?

— Oczywiście!

Znowu po chwili milczenia dziadek powiedział:

— No, przypuśćmy. Tylko jakżeż to będę chodzić w jednym bucie?

— A bo to długo? Do obiadu ci przyniosę.

— A jak w ogóle nie przyniesiesz? To wtedy mam całe życie chodzić w jednym bucie?

— Dziadku — rzekł poważnie Artiomka — znałeś Nikitę Zagorujko? Zapytaj ludzi: czy ukradł choć jeden but przez całe życie? A ja jestem podobny do niego.

Tego dnia Artiomka miał roboty po uszy: załatać dziadkowi but — to jedno, zakraść się ostrożnie do ogrodu kupca Adabaszewa, gdzie rosły piękne róże — to drugie, a trzecie — złowić choć pięć byczków.

Najwięcej stracił czasu na zdobycie róż. Przeleźć przez płot nie było trudno, ale na werandzie długo siedzieli goście, gryźli cukier popijając go herbatą. Artiomka leżał w krzakach i przeklinał w duchu. Ale w końcu doczekał się.

Jeszcze się nie ściemniło, jak Artiomka już siedział w pokoiku dziadka Szyszki. Dziadek wciągał oczyszczony, połyskujący but i rozkoszując się nim mówił:

— Proszę, proszę, jak to zrobił! Błyszczy jak lustro albo powóz.

Był bardzo zadowolony i sam błyszczał jak but.

— No, a co się tyczy przedstawienia — już to jakoś urządzimy. Powiem bileterowi, żeby cię zawsze wpuszczał... Powiem, że wnuk — i tyle. Niech spróbuje nie wpuścić...

Tego wieczoru walczyli dwaj zapaśnicy, mistrzowie świata: Klemens Hull i Chamberse Pepse. Już od rana przed kasą sta-

nęła kolejka. Wielbiciele, a zwłaszcza wielbicielki Klemensa Hulla, przynieśli ze sobą tego wieczora mnóstwo kwiatów i gdy Calvini stanąwszy na palcach cisnął jak okrzyk bojowy nazwisko: „Hull!“, pod nogi Anglika ze wszystkich stron zaczęto rzucać kwiaty.

Zdawało się, że obaj zapaśnicy postanowili w tym starciu wykazać całą swą siłę, zręczność i technikę. Wyrachowana powolność Hulla przeszła nagle w błyskawiczny rzut, tym bardziej piękny, że nieoczekiwany zarówno przez przeciwnika, jak i przez widzów. Pepse często śmieszył publiczność prostodusznym zdziwieniem, gdy go energicznie i szybko odpierano. „No, kto bi się spodziewala!“ Cofał się zmartwiony i znowu rzucał się na Hulla. Ale, oczywiście, Pepse był silniejszy i zręczniejszy, no i techniką nie ustępował Hullowi. Galeria bardzo pragnęła jego zwycięstwa. W lożach przeciwnie, oklaskiwano tylko Hulla, a pod adresem Pepse‘a wykrzykiwano różne niemiłe słówka.

W dziewiętnastej minucie Pepse zastosowawszy *„tour de tête“*[1]) cisnął Hulla przez głowę. Padając Hull zręcznie stanął na nogach. Ale nie zdążył się wyprostować, gdy Pepse w ten sam sposób zmusił go do zakreślenia łuku w powietrzu. Tym razem Hull zachwiał się, jednak utrzymał się na nogach. I zaraz potem znowu poleciał do góry, podrzucony w ten sam sposób. Siedem razy pod rząd, jak czarna błyskawica, spadał na niego Pepse, aż w końcu Hull, nie mogąc wytrzymać, rzucił się do ucieczki. Pepse krzyknął gardłowo i zaczął go gonić, ale wtedy w jednej z lóż zaczęto krzyczeć zaciekle: „Nieprawidłowo!“, „Precz z Pepsem!“, „Precz!“ Biedny Pepse zatrzymał się stropiony i zaczął obracać głowę to w jedną, to w drugą stronę. Calvini wyciągnął rękę do publiczności prosząc o spokój. Galeria z początku ze zdumieniem obserwowała to wszystko, ale potem oburzyła się i zaczęła tak krzyczeć, że w dolnych lożach widzowie zatkali sobie uszy palcami.

---

[1]) francuska nazwa chwytu zapaśniczego.

Pepse stał na środku areny rozglądając się z zakłopotaniem i gniewnie połyskiwał białkami oczu. Nagle wyciągnął przed siebie ręce. Poczekawszy, dopóki wszyscy nie umilkli, rzekł tonem głębokiego wyrzutu:

— Co ty tak krzyczala? Po co? Spytać Calvini, on powie. Mój walka być uczciwa. Ty krzyczala dlatego, że ja czarny.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Calvini gwizdnął i oświadczył pośpiesznie, że pierwsze starcie mistrzów świata zostało nierozegrane.

Zapaśnicy uścisnęli sobie dłonie. Rozległa się burza oklasków. Pod nogi Hulla rzucano kwiaty. Jaśniejąc uśmiechem chwytał je zręcznie i kłaniał się. Pepse w milczeniu obserwował lot kwiatów i jakoś usuwał się, gdy padały zbyt blisko niego. Nagle z galerii rozległ się okrzyk tak dźwięczny i radosny, że wszyscy mimo woli spojrzeli w górę:

— Pepse, łapaj! To dla ciebie!

Pepse podniósł głowę. Z galerii nad głowami publiczności leciał w jego stronę... cały krzak zielony, świeży, pełen ogromnych, purpurowych róż.

Galeria zaczęła krzyczeć i klaskać entuzjastycznie.

Pepse położył rękę na sercu i patrząc w górę rzekł wzruszony:

— O, chlopczik! Jaki śliczny, dziękuję!

Wkrótce Artiomka stał się w cyrku codziennym gościem. Wprost znad morza szedł do pokoju dziadka i tam smażył na maszynce naftowej swój połów. Potem obaj zasiadali przy stole i z przyjemnością spożywali smaczne byczki. Gdy do pokoju przychodził ktoś z artystów, dziadek kiwał w stronę Artiomki i tłumaczył:

— Mój wnuczek. Majster szewski. No i rybołówca oczywiście. — Dziadkowi naprawdę zaczęło się zdawać, że Artiomka jest jego wnuczkiem. — Chłopak zdolny nadzwyczajnie! — chwalił go wysuwając naprzód nogę w oczyszczonym bucie. — W naszej rodzinie wszyscy są zdolni.

Dziadek przypadł Artiomce również do serca. Zwłaszcza podobała mu się niezależność jego sądów: żadnego rozporządzenia administracji nie wykonywał starzec bez zrzędzenia i pogardliwego grymasu. Zdarzało się, że powiedzą mu: „Dziadku, zamiećcie arenę. Widzicie, ile tam śmiecia!“ „Jak to zamiatać? — mówił dziadek. — Czyż arenę się zamiata?“ „No, oczywiście, grabiami“. „Tak trzeba było powiedzieć! Wydają rozkazy i sami nie wiedzą, co rozkazują. Kierownicy!“

Pokój dziadka podobał się Artiomce również. Co prawda, umeblowanie jego składało się z dwóch tapczanów i zwyczajnego stołu bez obrusa. Ale za to ściany były wszędzie pooklejane różnobarwnymi afiszami i nawet tam, gdzie powinien był wisieć obraz święty, pysznił się znakomity akrobata belgijski Albert Bussie.

Pewnego razu Artiomka spotkał na korytarzu dziewczynę-linoskoczkę. Miała skromniutką sukienkę, ale z bliska wydała mu się jeszcze piękniejsza niż z galerii. Dziewczynka zmrużyła oczy i patrzyła wyczekująco na zbliżającego się Artiomkę

Już zamierzał wszcząć z nią rozmowę, gdy czmychnęła zdążywszy powiedzieć śpiewnym głosem:

Ten wnuczek Szyszki
zjadł zupy dwie miski
i skręciły mu się kiszki.

— Głupia! — powiedział Artiomka i pokazał jej język.

Przeszedł obok, ale potem wrócił, usiadł przed dziewczynką na ziemi i dużym palcem nogi podrapał się w ucho.

— Czy jesteś człowiekiem-żabą? — spytała dziewczynka, gdy przestała się śmiać.

— Jestem człowiekiem-szewcem — odpowiedział Artiomka. — Mogę ci zrobić takie pantofelki, jakich nie nosi nawet córka cesarza.

Dziewczynka pomyślała i zgodziła się.

— Dobrze — powiedziała — zrób mi takie pantofelki.

— A czy masz odpowiedni materiał? — spytał Artiomka.

Dziewczynka milczała. Postał chwilę i nie doczekawszy się odpowiedzi poszedł dalej.

Ale nie to było najciekawsze.

Kiedyś siedział Artiomka w pokoiku dziadka na tapczanie i nakręcał nowy sznurek u wędki. I wtedy wszedł Pepse.

Od tego wieczoru, gdy Artiomka rzucił mu cały krzak różany, nie zdarzyło im się spotkać. Ujrzawszy teraz Artiomkę Pepse powiedział radośnie:

— O, jaka mila spotkanie, jaka mila spotkanie!

I wyciągnął do Artiomka obie ręce.

Potem usiadł na tapczanie, pokazał w uśmiechu białe zęby i w milczeniu pogłaskał Artiomkę po głowie.

Artiomka patrzył na Pepse'a i nie wiedział, co by mu powiedzieć miłego. Nachylił się i dotykając trzewików Pepse'a rzekł z szacunkiem:

— Materiał pierwszorzędny. Takiego z pewnością nie znajdzie się nawet w Petersburgu. Wiele kosztują?

— Pięć dolarów — powiedział Pepse, wciąż tak samo uśmiechnięty.

Artiomka nie wiedział, co to jest dolar, ale zgodnie przytaknął.

— Takie — to warte. Najważniejsze, żeby towar był mocny. Za takie i sześć nie byłoby za dużo — i nieoczekiwanie dla samego siebie, w porywie uczuć przyjacielskich, zaproponował:

— Chodźmy łowić byczki.

— Po co? — zdziwił się Pepse.

— Jak to „po co"? Nałowimy, potem usmażymy i zjemy.

Zdziwienie Pepse'a ustąpiło przestrachowi.

— O, o — kręcił głową — to nie wolno! Cudzy byk łowić. — Nie chcę siedzieć więzienia.

— A bodaj cię! — rzekł Artiomka ze współczuciem. — Nie rozumiesz. Patrzaj — tu wskazał na wędkę — pójdziemy nad morze łowić ryby.

— O, to dobrze, bardzo dobrze! — radośnie zgodził się Pepse, wstał i włożył kapelusz na głowę. — Kiedy ja byla chłopiec, ja bardzo chcieć łowić ryba. Mój gospodarz nie pozwolić. Ja bardzo plakać...

Wychodzą na ulicę. Artiomka trzyma pudełko blaszane z robakami i wiadro na ryby, Pepse niesie wytarty dywanik i dwie wędki, takie długie, że omal nie zaczepiają o drut telegraficzny. Wszyscy się za nimi oglądają: „Oto — mówią — Murzyn z chłopcem idą łowić ryby".

Artiomkę duma wprost rozpiera.

— Kto się nie zna, ten idzie łowić na zbocze Łazienkowe. A jakież tam byczki? Śmiech o tym mówić — powiada Artiomka. — Takimi byczkami nie nakarmi się nawet wróbla. A my pójdziemy na molo.

Artiomce zdawało się, że Murzyn nabierze większego szacunku, gdy zobaczy, jakie Artiomka łowi duże byczki.

— Tam są byczki ot, takie — powtarza odmierzając ręką do łokcia.

I oto już molo. Siedzą zwiesiwszy nogi, a w dole pale pozieleniałe i śliskie. Woda uderza o nie cichutko. W porcie ślizgają się gigi[1]) i często terkoczą motorówki. Do brzegu zbliża się olbrzymi, jakby cały z zardzewiałych arkuszy żelaza, parostatek towarowy. Trąbi ciężkim basem i na rozkołysanej przezeń wodzie podskakują łódki jak skorupki orzechów. Spławik Artiomki wciąż się zanurza. Już wyciągnął siedem ciężkich byczków.

Spławik Pepse'a leży spokojnie na powierzchni, co Murzyna oburza.

— No i co ty powiedzieć! — mówi takim tonem, jakim zwraca się do przeciwnika na arenie, gdy ten nie chce położyć się na obie łopatki. — Mój wędka nie chce jeść.

— Patrz — uczy Artiomka — trzeba o tak!

Nasadza robaka na haczyk i popluwszy zarzuca zręcznie ołowiankę na wodę.

Po kilku sekundach spławik zanurza się.

— O-o! — zachwyca się Pepse. — Ty dobry myśliwy na ryba. Ty na ryba mistrz.

Stopniowo otaczają ich gapie. Przyglądają się Pepse'owi, szepcą. Pepse przyzwyczaił się już dawno do takiej ciekawości. Artiomka z początku jest dumny, ale potem zaczyna mu się zdawać, że w tym jest coś ubliżającego.

— No i czego się gapicie? — nie wytrzymał. — Cóż to, ma usta od ucha do ucha, czy też na głowie mu rośnie kapusta? Wybałuszyli oczy jak ryby! Gapie przeklęte! Widać, że nic nie mają do roboty!

Chciał dodać jeszcze kilka słów, ale Pepse zaczął nagle wołać radośnie:

— Bierze! Artiomka, bierze!

I na molo upadł ciężko duży, czarny byczek.

Pepse wracał znad morza jako namiętny rybołówca.

---

[1]) gig — rodzaj łodzi dwuwiosłowej.

Olej słonecznikowy wyczerpał się już przedwczoraj i gdy Artiomka czyścił w pokoju dziadka byczki, Pepse skoczył do sklepiku po olej i chleb. A potem, gdy zasiedli przy stole, mrużył oczy jak Artiomka i powtarzał z rozkoszą:

— O, jaki smaczny!

— Słusznie — potakiwał dziadek. — Doskonała ryba.

— O, Artiomka, mistrz od ryba! — wołał Pepse. — Proszę, proszę, jutro też lowić ryba.

Tego wieczoru Pepse walczył w pierwszej parze. Po kilku minutach położył przeciwnika, ukłonił się szybko i odszedł z areny. A po chwili widzowie galerii ze zdziwieniem i ciekawością patrzyli, jak ubrany już w swój brązowy garnitur przeciskał się między nimi i kogoś szukał. Na samym końcu galerii wziął za ramię ściśniętego w tłumie publiczności chłopaka i wyszedł z nim na schody.

— Słuchaj — zaczął mówić prędko. — Szyszka powiedzieć, że dobry rybak chodzić w nocy na ryba. Noc ryba dobrze brać. Chodź, Artiomka. My nalapać dużo byczki.

— Co on wygaduje! — zdziwił się Artiomka. — W nocy ryb się nie łowi. Pijany z pewnością.

— Nie, Szyszka nie pijany, Szyszka być trzeźwy. Chodź, Artiomka.

— No, dobrze, tylko jeszcze przyjrzę się końcowi walki — rzekł Artiomka.

— Po co patrzeć? Chodź, Artiomka, proszę, chodź! — nalegał Pepse.

— No, więc chodźmy, jeśli ci się chce tak bardzo — zgodził się Artiomka.

I oto woda znów pluszcze im pod nogami. W wodzie drżą gwiazdy. Daleko ślizga się czarna sylwetka łodzi. Cisza taka, że słychać zgrzyt wioseł w dulkach.

Pepse i Artiomka patrzą na spławiki. W ciemności ledwo je widać: oko to chwyta je, to znowu gubi i dlatego wydaje się, że się zanurzają.

— Bierze... — szepce Pepse i podrzuca wędkę.

Ale haczyk pusty, nawet robak nie zjedzony.

— No, co ty powiedzieć? — ubolewa Murzyn.

— Słuchaj, Pepse — mówi Artiomka straciwszy cierpliwość — co robisz w nocy? Śpisz czy nie śpisz?

— Śpisz — odpowiada Pepse.

— A może biegasz po ulicach, szukasz barszczu i kotletów?

— Nie, ja śpisz.

— No, a ryba, jak myślisz, co robi w nocy?

Pepse milczy. Potem pyta niepewnie:

— Ryba też śpisz?

— No, tak! Kiedy ma spać, jak nie w nocy!

— Znaczy, że Szyszka pijany — wnioskuje Pepse i nawija sznur od wędki.

Ale odchodzić nie chce się. W mieście duszno, a tutaj orzeźwiający wiatr dmie prosto w twarz.

Pepse rozciąga się wprost na molu z dywanikiem pod głową. Artiomka lokuje się obok. Z góry mrugają gwiazdy. Cisza, nie jest gorąco i nikt się nie gapi. Dobrze.

— Wiesz co? — mówi Artiomka. — Opowiedz mi o obcych krajach. Tam zapewne wszyscy noszą półkoszulki. Byłeś w Turcji?

— Bylem. Bylem w każdym kraju.

— Jacyż tam ludzie?

— W każdym kraju jest dobry ludzie i jest zly ludzie. Dobry malo, zly dużo. Bylem Francja i bardzo plakal, potem bylem Niemcy i też plakal.

Artiomka przypomniał sobie, jak Pepse popłakiwał na tapczanie dziadka i zapytał:

— No cóż, dali ci rolę?

— Nie, Samarin bardzo zly, bardzo, bardzo zly.

— Dziadek Szyszka mówi, że rola to stukanie grzechotką. Czy to prawda?

— O, nie. To glupia! Rola to robić tak, żeby ludzie plakać, żeby ludzie śmiać się, żeby ludzie mieć dobry uczucia. Role robić artysta. Ja bardzo, bardzo lubić artysta!

Pepse opowiada zadziwiające rzeczy! Okazuje się, że można siedzieć w sali i przez jeden wieczór zobaczyć i usłyszeć wszystko, o czym jest mowa w grubej książce. Trzeba tylko, żeby artyści dobrze grali swoje role. Gdy artyści dobrze grają role, ludzie myślą, że to wszystko dzieje się tak naprawdę, jak pokazują artyści. I wtedy ludzie płaczą i śmieją się, nienawidzą i bardzo kochają. A bywa i tak, że artyści nie rozmawiają i tylko wszystko tłumaczą rękami. To się wtedy nazywa pantomina. I to także ładne. Pepse chciałby bardzo dostać rolę w pantominie. Pepse mówi źle po rosyjsku, ale przecież w pantominie nie trzeba rozmawiać. W pantominie Pepse może zagrać, ale Samarin nie daje mu roli. A zapasów atletycznych Pepse nie lubi. Zapasy to bluff[1]), oszukaństwo.

— Jak to oszukaństwo? — nie rozumie Artiomka. — W jaki sposób?

I wtedy dowiaduje się takich rzeczy, że od razu maleje całe jego zainteresowanie walką. Okazuje się, że mistrza Grecji, Margulego, Pepse mógłby położyć na łopatki już w pierwszej minucie, a położył dopiero w piątej, ponieważ tak chciał Calvini. Inaczej dla publiczności nie byłoby to ciekawe. Pepse może zwyciężyć i Hulla, ale nigdy mu na to nie pozwalano i walka ich zawsze jest nierozegrana. A i teraz będzie zmuszony wkrótce zachorować i pierwsze miejsce zajmie Hull.

Pepse może wszystkich położyć na łopatki. Nie może tylko zwyciężyć atlety rosyjskiego Iwana Poddubnego, dlatego że Poddubny jest z żelaza. Pepse walczył z nim i w Londynie, i w Petersburgu, i w Brukseli i zawsze Poddubny kładł Pepse'a na łopatki. Dlatego właśnie Poddubny nazywa się nie mistrzem świata, ale królem mistrzów.

---

[1]) bluff — samochwalstwo, blaga.

Pepse opowiadał jeszcze wiele innych ciekawych rzeczy. Ale tymczasem niebo staje się bledsze, gwiazdy gasną i nikną i już wyraźnie widać stojące w porcie barki i parostatek grecki „Polones“, który przywiózł cytryny, i ogromny czarny „George“, który już piąty dzień ładuje pszenicę.

— No, daj, teraz zarzucimy — mówi Artiomka. — Teraz właśnie czas odpowiedni. Ryba budzi się wcześnie.

I rzeczywiście do tego czasu, gdy z wody ukazał się lśniący rąbek słońca, w wiadrach rybołówców pływało już około pół setki czarnych, ciężkich byczków.

— O, jaki mądry Szyszka! — dziwił się Pepse wyciągając jednego byczka za drugim. — Bardzo, bardzo mądry Szyszka!

SZCZĘŚCIE PEPSE'A

Po mieście chodzi człowiek ze znudzoną twarzą. Utyka trochę na jedną nogę. W ręku ma wiadro z klajstrem i pędzlem oraz zwój różnokolorowych arkuszy papieru. Podchodzi do drewnianego skrzypiącego kiosku, smaruje go klajstrem, na posmarowanym miejscu rozprostowuje zielony lub różowy arkusz, a potem idzie do następnego kiosku.

Kulawy człowiek nakleja afisze nie tylko na kioskach, ale na każdym mniej więcej odpowiednim miejscu. Nakleja je i na budce Artiomki. Dawniej Artiomka afiszów nie czytał, ale od pierwszej swej bytności w cyrku nie mijał już żadnego i czytał wszystko od góry do dołu, do ostatniego, najdrobniejszego wiersza, który informował, że policmajster, podpułkownik Żukow, pozwolił na wydrukowanie tekstu.

Artiomka wiedział, że cyrk przygotowuje pantominę. Czasem nawet udawało mu się zobaczyć, jak zebrani na arenie artyści cyrkowi, atleci i służba wymachują w milczeniu ręka-

mi, walczą drewnianymi mieczami, kłaniają się, a Samarin, niski grubas z ogoloną twarzą, stoi na środku areny i wykrzykuje: „Mimika! Do diabła, mimika! Pachomow, uśmiechnij się pan! Uśmiechnij, ale nie rób idiotycznej miny!“ Artiomka z ciekawością oczekiwał pantominy i wyskakiwał z budki za każdym razem, gdy tylko usłyszał, że z zewnątrz spaceruje po ścianie pędzel.

Wreszcie ukazał się dawno oczekiwany afisz. Był jaskrawo zielony i dwa razy większy niż zwykłe. Na afiszu figurował gruby mężczyzna w szerokich spodniach, z warkoczykiem na ogolonej głowie, ze zwisającymi wąsami — i celował ze strzelby do czarnowąsego, urodziwego młodzieńca.

„Taras Bulba“ — przeczytał Artiomka tytuł pantominy i pomyślał: „To mnie zawdzięczacie i tego Tarasa, i tego Bulbę“.

— O, Artiomka! — usłyszał głos za sobą. — Ja bardzo szukać twój fabryk. Gdzie jest twój fabryk?

— To właśnie moja fabryka — oświadczył Artiomka z dumą — mówiąc dokładniej warsztat, gdzie reperuje się obuwie i zalewa kalosze, albo po prostu budka szewska.

Budka była zakopcona, połatana, pełna szpar. Pepse pokręcił tylko głową. Potem podszedł do afisza i przesunął palcem pod zdaniem wydrukowanym tłustym drukiem: „Udział biorą wszyscy artyści cyrkowi i cały zespół atletów“.

— To nieprawda — powiedział.

— A więc Samarin nie dał ci roli?

— Nie, on bardzo zla czlowiek, ta Samarin.

— Po prostu gałgan — rzekł Artiomka.

— Galgan — zgodził się Pepse.

Wyjął z bocznej kieszeni małą książeczkę i podał ją Artiomce.

— To, Artiomka, ja kupić w sklep. Chodź twój fabryk. Ja bardzo źle znać rosyjski slowa. Ja bardzo chcieć sluchać.

Artiomka rozwinął książeczkę. Były to opowiadania Gogola, między innymi i „Taras Bulba“.

— O! — ucieszył się Artiomka. — Toś bardzo ładnie wymyślił! — I zaraz zapytał z niepokojem: — A ty wleziesz do budki?

Pepse zmierzył budkę spojrzeniem i rzekł z przekonaniem:

— Wleziesz.

— No, to chodźmy.

Pepse'owi w budce jest niewygodnie: plecy zgięte, głowa opiera się o półkę z kopytami, nogi — o ścianę. Ale nie zwraca na to uwagi i nie spuszcza oczu z Artiomki.

Jak to przykro jednak, że tak dużo słów niezrozumiałych. Pepse co chwila kładzie rękę na książce i przerywając czytanie zapytuje:

— Co to być świtka? Co to być ojczyzna?

Ale i sam Artiomka wielu słów nie rozumie. Stara się wytłumaczyć:

— Świtka to taka szuba, po prostu palto. Rozumiesz?

Ale jeśli niektóre słowa pozostały niezrozumiałe, to w całym przebiegu wypadków Pepse orientował się doskonale i opowiadanie przypadło mu bardzo do serca. Słuchając wzdychał, kręcił głową, przymykał oczy i wciąż szeptał jakieś niezrozumiałe dla Artiomki wyrazy. Do Andrzeja odniósł się z pogardą już na samym początku opowiadania. A gdy usłyszał, jak ten, wystrojony, wjechał na wspaniałym rumaku wraz ze szlachtą polską, by rąbać swoich braci Kozaków, zmarszczył się z obrzydzeniem i splunął do szaflika.

— Taka serce trzeba rzucać psy! — powiedział.

Za to zachwycał się Ostapem i wciąż powtarzał:

— O, Ostap, o to dobra Kozak!

A gdy Artiomka przeczytał: „Ale już pokonywają Ostapa; już jeden zarzucił mu na szyję arkan; już wiążą, już go biorą. „Ach, Ostapie, Ostapie!" krzyczy Taras Bulba przedzierając się ku niemu i rąbiąc nieprzyjaciół, jak sieczkę, na prawo i lewo" — Pepse chwycił się rękami za głowę i zajęczał.

Jednak najsilniejsze wrażenie uczynił na Pepse sam Bulba. Człowiek który zabił własnego syna za zdradę ojczyzny i który tak strasznie zemścił się na ciemięzcach, wydawał mu się istotą nadprzyrodzoną. Ale nie pytał, czy Taras istniał naprawdę: widział Tarasa jak żywego i straszył Artiomkę to gniewnymi, to radosnymi okrzykami. Zresztą i Artiomkę opowiadanie porwało w niemniejszym stopniu.

Przez całe życie Artiomka przeczytał tylko trzy książeczki: „Konika Garbuska", „Jak lwica wychowała królewicza" i „Kubę Rozpruwacza". Ale w tych książeczkach była mowa nie o życiu prawdziwym, tylko o takim, jakie zmyśla się dla zabawy. Dlatego też stosunek Artiomki do książki był taki, jak do zabawy. A tu nagle najprawdziwsi ludzie, najprawdziwsze życie — Artiomka odczuwał to od razu.

Gdy doczytano ostatnią stronicę i Artiomka wzniósł oczy na Pepse'a ten kręcił głową ze smutkiem:

— Żle, o źle!

— Jak to „źle"? — oburzył się Artiomka. — Co ty?!

— Po co szukać fajka? Fajka można drugi kupić. A drugi Taras nie ma.

— A coś ty chciał, żeby z fajki Tarasa paliło wszelkie tałatajstwo?

— Co to talatajstwo?

— Tałatajstwo? No, to taki człowiek, który zamiast głowy ma szaflik, a sumienia nie ma wcale. Po prostu łajdak. Rozumiesz...? Ojejej, cóż mi się jeść zachciało!

Pepse spojrzał na zegarek. Było już koło trzeciej.

— Ty dzisiaj jadla? — spytał.

— Ja dzisiaj nie jadla — odpowiedział Artiomka kalecząc po łobuzersku język.

— Dlaczego? — zdziwił się naiwnie Pepse.

Artiomka chciał mu odpowiedzieć, że ma już taki zwyczaj — nie jadać, ale zmilczał i odwrócił się do okna. Pepse przez

jakiś czas patrzył na niego ze zdumieniem i nagle przelękniony powiedział z pośpiechem:

— Chodźmy, chodźmy do restauracja, Artiomka. O, Pepse, jaka ty glupia!

Na marmurowych schodach Artiomka zobaczył siebie w dużym pozłacanym lustrze: koszula wypłowiała, bez paska, bose, zakurzone nogi, a spodnie postrzępione. Artiomka zajrzał do sali, a tam kryształowe żyrandole i wygorsowani lokaje.

— Pepse! — powiedział. — Po jakiego licha mamy tam chodzić! Idziemy do garkuchni.

Ale już po parkiecie sunął na ich spotkanie kelner z wyciągniętą we wzgardliwym szacunku szyją.

Rosół doprowadził Artiomkę do wściekłości: ani jarzyny, ani kartofli, sama tylko woda i wodę tę, nie wiadomo czemu, trzeba pić łyżką. Ale befsztyk zjadł z przyjemnością. Jednak gdy Pepse zapytał, czy Artiomka nie chciałby jeszcze czegoś, odpowiedział bez namysłu:

— Barszczu. I kaszy gryczanej, ot!

Wprost z restauracji poszli do cyrku. Na czwartą była naznaczona próba generalna „Tarasa Bulby" i nie mogli wytrzymać, aby nie zobaczyć inscenizacji dopiero co przeczytanego opowiadania. Ale to, co ujrzeli, nie było zupełnie podobne do próby: „Polacy" i „Kozacy" pomieszani ze sobą siedzieli na barierze areny i spokojnie palili papierosy, a po arenie biegał targając włosy Samarin i ryczał wniebogłosy:

— Zarżnął mnie! Zarżnął mnie bez noża, przeklęty człowiek! No co, no co ja teraz będę robić?! Na Boga, na diabła, powiedźcie mi, co ja teraz będę robić?!

Nic mu nie odpowiedziano. „Polacy" i „Kozacy" w dalszym ciągu puszczali spokojnie dym przez nos.

— Czemu Samarin zla? — pytal Pepse przysiadając się do jednego z „Polaków".

— Wujcio Wasia zwichnął po pijanemu nogę i teraz nie ma komu grać Bulby.

Pepse pomyślał chwilę, potem przekroczył ze stanowczością barierę i stanął przed Samarinem.

— Ja być Bulba — powiedział.

Samarin spojrzał zakłopotany, już chciał rozkrzyczeć się, ale tylko pokręcił głową.

— Jesteś idiota — rzekł ze współczuciem.

— Ja być Bulba — powtarzał uparcie Pepse i wyjął z kieszeni książeczkę. — Artiomka czytać, ja słuchać. Ja wszystko zrozumiala. Ja chcieć robić Bulba.

Wtedy Samarin wzniósł ręce do góry, jak gdyby zamierzał wskoczyć na trapez.

— Nie, to czort wie, co takiego. Już nie mam cierpliwości. Pytam się, do czego to podobne, żeby Murzyn, czarny Murzyn, grał rolę Kozaka zaporoskiego?! Do czego to podobne?! — potem opuścił ręce i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, powiedział: — Zobaczymy. Obraz pierwszy: Ostap i Andrzej zeskakują z koni, Bulba ze zdziwieniem patrzy na ich świtki. Pepse, stań tutaj! Chwyć się pod boki. O, tak. Głowę wyżej. Jeszcze wyżej. Tak.

Próba zaczęła się.

Jakiś aktor podszedł do Artiomki i poprosił go, aby pobiegł po papierosy, ale ten nawet nie odwrócił głowy.

— Coś ty, wnuku Szyszki, ogłuchł czy co? — zdziwił się tamten.

Nie, Artiomka nie ogłuchł, ale po prostu cały świat przestał dla niego istnieć. Nie ogłuchł, przeciwnie, cały zamienił się we wzrok i słuch. Ale słyszy tylko to, co mówi Samarin, i za każdym razem boi się okropnie, że Pepse nie zrobi tak, jak tamten pokazuje. Ale nie ma się czego bać: Pepse wszystko robi tak, jak trzeba, wszystko; tak, widać to nawet z tego, że Samarin już nie krzyczy, tylko poprawia, nazywa nawet Pepse'a kochanym przyjacielem. Niedobrze tylko, że Pepse zanadto się gorączkuje. Samarin wciąż mu przypomina:

— Spokojnie, spokojnie, jesteś Bulba, a nie pochodnia na wietrze.

Próba skończyła się dopiero przed samym przedstawieniem, kiedy artyści biorący udział w pierwszej części musieli już iść się przebierać. Z przejęcia i gorliwości Pepse nawet spocił się cały jak po długiej walce. Gdy odchodził z areny, twarz jego promieniała ze szczęścia.

— Artiomka, ti widziala, ti widziala? — dopytywał się. — Ja dobrze robić Bulba?

Cieszył się jak dziecko i wciąż zapytywał, czy publiczności się ogłosi, że rolę Bulby zamiast wujcia Wasi, który zachorował, wykona Pepse.

— Ogłosi się, ogłosi — uspokajał go administrator i natychmiast kazał, żeby przygotować kilka nalepek na afisze. Zresztą nie znalazły się one na afiszu. Zobaczył je Samarin i powiedział:

— Nie potrzeba. Murzyn... i Kozak zaporoski! Nie wypada wobec publiczności. No i licho wie, jak się do tego odniesie władza.

I Artiomka widział, jak gotowe już nalepki z nazwiskiem Pepse'a wrzucono do pudełka.

„Jak to, nie wypada?" — pomyślał.

Ale Artiomka nic nie powiedział Pepse'owi: ten był w siódmym niebie. Krzątał się przy nim charakteryzator, krawiec i fryzjer. Ubierano go, pod ubranie podkładano poduszki, szminkowano twarz i ręce, lepiono mu z kitu nos.

Część pierwszą stanowił zwykły program cyrkowy. Na pantominę przeznaczono część drugą i trzecią. Pantominę grano po raz pierwszy i w cyrku stłoczyło się tyle publiczności, że Artiomki omal nie uduszono na galerii. Z początku nie pojmowano — jakżeż to tak: ludzie chodzą, wymachują rękami, a nie mówią ani słowa. Ale później, w dalszych obrazach, zasmakowano w tym i nawet zaczęto zachęcać aktorów:

— Trzymaj się, trzymaj się! — krzyczano z galerii, kiedy Ostapa ze wszystkich stron osaczono. — Wal, Bulba, wal! O tak! Jeszcze, jeszcze!

I aktorzy starali się ze wszystkich sił.

Pierwsza część pantominy skończyła się przy głośnych oklaskach i okrzykach. Wywołano wujcia Wasię i Kreczota, który grał rolę Ostapa. Pepse wychodził na arenę i kłaniał się jakoś dziwnie. Wyglądało, że chciał coś powiedzieć i nie mógł się odważyć.

— To nie wujcio Wasia! — krzyczał Artiomka z galerii. — To Pepse, jak Boga kocham, to Pepse!

Ale nikt na niego nie zwracał uwagi. Powodzenie Pepse'a było wyraźne i obawy Artiomki jak ręką odjęło. No, ale jakżeż publiczność nie rozumie, że to Pepse, a nie wujcio Wasia! Przecież wujcio Wasia jest niższy od Pepse'a. Artiomka przykłada ręce w trąbkę do ust i przekrzykując basy męskie wrzeszczy po koguciemu:

— Peeepse! Brawo! Peeepse!

— Ty durniu! — mówi obok jakiś rzemieślnik, który przyszedł do cyrku ze strugiem i piłą. — Przecież to wujcio Wasia, a nie Pepse.

I nagle Artiomce błysnęła myśl. Oderwał się od balustrady i co sił zbiegł na dół po schodach. Po kilku minutach nalepki, które poniewierały się w pudełku od śmieci, widniały już na afiszach.

— Tak właśnie! — mówi Artiomka smarując klajstrem ostatnią z nich na ścianie cyrku. — Widzisz ich, spryciarze, będą z cudzej gry korzystać!

Ludzie wychodzili podczas antraktu z cyrku, tłoczyli się przed afiszami i dziwili się:

— To dopiero Murzyn! Widzisz, jak odwala Bulbę!

I Artiomka zadowolony popędził do Pepse'a, aby mu powiedzieć, co mówi o nim publiczność.

Pantomina miała ogromne powodzenie, zwłaszcza obraz ostatni. Zakończenie opowiadania zmieniono w ten sposób, że cofający się Kozacy znowu przechodzą do ofensywy, po gwałtownym starciu rozbijają nieprzyjaciół i wynoszą na rękach martwe ciało Tarasa.

Pepse'a wywoływano sześć razy. Wychodził, kłaniał się i przyciskał rękę do serca, a ze wszystkich stron rozlegały się różne głosy:

— Peeepse! Pe-e-e-epse! Bulba-a!

Artiomka stał przy malinowej kotarze z otwartymi z zadowolenia ustami. Wybiegając z areny Pepse zobaczył go, roześmiał się i zaczął klaskać w dłonie.

— Artiomka, Artiomka! Ja taka, taka...

Chciał powiedzieć: „Jestem taki szczęśliwy", ale ze wzruszenia zapomniał, jak wymawia się po rosyjsku to słowo.

— Ja taka...

Nie dokończył, porwał Artiomkę na ręce i podrzucił wysoko do góry.

LASIA. PEPSE SMUCI SIĘ

Ta dziewczynka-linoskoczka wyprowadza wprost Artiomkę z równowagi. Zatrzymuje się i patrzy na niego mrużąc oczy i uśmiechając się. Ale jak tylko Artiomka podejdzie bliżej, robi poważną minę i odchodzi. Nie, Artiomka nie podejdzie już do niej nigdy. Pewno jest zazdrosna, że sam Pepse jest z nim zaprzyjaźniony. No, cóż, Artiomka wie, o czym rozmawiać z mężczyznami, dlatego więc mężczyźni wchodzą z nim w przyjacielskie stosunki. Ale o czym rozmawiać z nią?

Ale gdy dziewczyna chodzi po linie, Artiomce żal jej. Właściwie sam nie wie, czemu. Może dlatego, że dziewczynka boi się chodzić po linie. Tak, Artiomka jest przekonany, że się boi. Kiedyś widział, jak poślizgnęła się i nie mogła utrzymać równowagi. I wtedy składała usta do uśmiechu, ponieważ na arenie wypada się uśmiechać, ale wargi nie były posłuszne i drgały ze strachu. Artiomka chciał podbiec do liny i schwytać dziewczynkę, gdyby spadła. Ale nie spadła i Artiomka nawet żało-

wał tego trochę, bo jakby to było pięknie, gdyby spadła, a on podbiegłby szybko i zdążył ją złapać. Wszyscy w cyrku oklaskiwaliby go, a Lasia nigdy już więcej nie droczyłaby się z Artiomką.

Ale chociaż Artiomka postanowił nie rozmawiać z nią więcej, jednakże wypadło wszcząć rozmowę. Kiedyś wpadł do pokoju dziadka i widzi, że na tapczanie siedzi linoskoczka i rozwija wędkę. Ujrzawszy Artiomkę wstała stropiona i postawiła wędkę w kąciku.

— A ty czemuś ruszała moją wędkę? — ucieszył się Artiomka, że może ją zaczepić.

Dziewczynka ruszyła rzęsami i obrzuciwszy Artiomkę chłodnym spojrzeniem jasnych, jakichś bzowych oczu, skierowała się ku wyjściu.

— Poczekaj — powiedział Artiomka od razu innym tonem — ty nie myśl... Czyż ja ci żałuję...? Tylko tak...

Dziewczynka zatrzymała się przed drzwiami i znowu przymrużyła oczy.

— Łowiłam tutaj ryby twoją wędką — droczyła się.

— Ach, jakaś ty... śmieszna — rzekł Artiomka pobłażliwie. — Czyż to zabawka? Ja tą wędką łowię w morzu prawdziwe ryby, rozumiesz? Kiedyś złapałem tą wędką taką rybę, że aż się przestraszyłem, myślałem, że to rekin.

Dziewczynka uśmiechnęła się.

— A gdzież te twoje obiecane pantofelki, w jakich nawet królewny nie chodzą? — spytała nagle.

— Zrobię — odparł Artiomka poważnie. — Niech tylko znajdę materiał, to zrobię... A co się tyczy ryby, nie masz co wątpić. O, zapytaj choćby Pepse'a. A najlepiej, chodź z nami. Chcesz?

— Chcę — odpowiedziała prędko dziewczynka i przestała się uśmiechać.

— Doskonale — ucieszył się Artiomka. — Zaraz przyjdzie Pepse i pomaszerujemy. Tylko czy Skarbonka cię puści?

Skarbonka — to ojciec dziewczynki, klown.

Dziewczynkę rozśmieszyło to.

— Niechby tylko spróbował...! Ja bym mu pokazała.

Na niebie ani jednej chmurki. Słońce zalewa morze, a w morzu skaczą miliardy oślepiających punkcików.

Twarz Pepse'a jaśnieje szczęściem. Wciąż jeszcze ma zawrót głowy po wczorajszym powodzeniu.

Wszystko dziś cieszy Pepse'a, ale najbardziej to, że obok siedzi Artiomka z niebieskooką dziewczynką. Może i dlatego tak słodko mu na sercu, że oto siedzą tutaj przy nim, gawędzą i ufnie kładą swe małe ręce na jego dużą, czarną łapę, gdy tylko zapytują go o coś.

— Kiedy byłam mała — opowiada dziewczynka — chodziliśmy ze Skarbonką po podwórzach. Skarbonka grał na skrzypcach, a ja tańczyłam. Chodził jeszcze z nami pies Motek. Tylko był głupi. Skarbonka uczył go każdego ranka tańczyć, ale ten tylko lizał mu palce i szczekał. I niczego się nie nauczył!

— Ja także mieć pies — rzekł Pepse — ja chodzić z nim po Friedrichstrasse. On zobaczyć policjanta i powiedzieć: „Hau"! i policjant zabić pies.

— Pies psa zawsze ugryzie — zaopiniował Artiomka. — A czemu to na afiszach piszą o tobie: „Mamzel Maria"? Nie jesteś Rosjanką? — spytał nagle dziewczynki.

— Nie mamzel, ale *mademoiselle* — poprawiła. — To dla publiczności, żeby myśleli, że jesteśmy Francuzami. A naprawdę na imię mam Marusia. A prócz tego Lasia. Tak mnie nazywa ojciec.

— A dlaczego twego ojca nazywają Skarbonką?

— A dlatego, że ma taką głowę podobną do skarbonki... To ja go tak przezwałam — Skarbonka.

— U nas na targu przezywają jedną handlarkę też śmiesznie: Deneczka. Kiedy się napiję, mówi zawsze: „Och, wypiłam wszystko do deneczka!"

Lasi wydało się to śmieszne. Roześmiał się i Pepse, chociaż nie wszystko zrozumiał. Zachęcony Artiomka zaczął opowiadać zabawne historyjki jedną po drugiej. Pepse trząsł się ze śmiechu, a Lasi nawet łzy zabłyszczały w oczach.

— Oj, jakiś ty komiczny — śmiała się do rozpuku padając głową na kolana Pepse'a i Artiomce zdawało się, że w jej gardle dźwięczy dzwoneczek. — Ale ty jesteś naprawdę artystą!

Nagle twarz jej spoważniała.

— A wiesz co — rzekła — przecież ty mógłbyś zagrać nawet Johna! Na pewno potrafiłbyś, jestem przekonana!

— Jakiego Johna? — nie zrozumiał Artiomka.

— No, Johna, rozumiesz? Samarin przygotowuje nową pantominę: „Dick, porywacz dzieci". Tam są dwie role: dziewczynki Atli i chłopca Johna. To dzieci milionera amerykańskiego. Ja mam grać Atlę, a Johna nie mają. Słyszałam, jak Samarin mówił do gospodarza: „Do diabła, gdzieby tu znaleźć chłopca?" Chcesz, powiem mu.

— Coś ty?! Czy to możliwe!

— Artiomka, bierze! — krzyknął Pepse.

Spławik wędki Artiomki tańczył jak szalony, lecz Artiomka patrzył nie na spławik, ale na Lasię, chcąc z twarzy jej poznać, czy droczy się z nim, czy też mówi poważnie.

— Ale dlaczegóż niemożliwe? — powiedziała i twarz jej przybrała wyraz pełen zastanowienia. — Oczywiście, że można.

— Ale przecież... — Artiomka zaciął się. — Ja nawet nie mam paska...

— Pasek dostaniesz — uspokajała go — i trzewiki, i marynarkę — wszystko. Prawda, wuju Pepsie? No, chcesz? Powiem.

Tego samego dnia dziadek Szyszka powiedział do Artiomki:

— Zdaje się, chłopcze, że ci się poszczęściło. Idź, Samarin cię wzywa. Siedzi tam u Greka w gabinecie, popija wodę sodową. Nic innego, tylko chce cię wziąć do pracy. Na akrobatę.

A może i co oberwiesz. Będziesz miał nauczkę: nie pchaj się na darmochę do cyrku.

Ale Artiomka wiedział lepiej, po co go wzywają, i natychmiast zjawił się w znajomym już pokoju. Jak i wtedy siedział tam przy stole Grek z garbatym nosem i stukał na liczydłach, a Samarin, usadowiony naprzeciw, łykał koniak i popijał wodą selcerską. Widząc, że nikt na niego nie zwraca uwagi, Artiomka powiedział:

— Pan mnie wzywał?

Samarin spojrzał, wytrzeszczył oczy i nie zdążywszy połknąć prysnął wodą selcerską na podłogę.

— Oj, skonam...! Nie wytrzymam...! Patrz pan, patrz pan na to straszydło...! Syn milionera...! Bez paska...! Połatany...! Cha-cha-cha...!

— To ten chlopcik, któli znalazł pantominę poznał Grek. O, dobli chlopcik! Tylko dziulek dużo.

— Oj, niechby choć pan nie śmieszył...! Dziurek dużo! Ale przecież on cały to jedna dziura!

I natychmiast, jakby to nie on śmiał się przed chwilą, powiedział rzeczowo:

— No, przyjdź dzisiaj o piątej na próbę. Ale ubierz się jakoś...! Milioner...!

Artiomka wyszedł czerwony i zmieszany. Nie wiedział, czego chciało mu się bardziej: uściskać Samarina czy łupnąć go kułakiem w brzuch, aby się nie śmiał.

Na piątą zebrało się na próbę kilkanaście osób. Przyszedł i Pepse. Był widocznie czymś zaniepokojony i nerwowo zwracał głowę w stronę każdego, kto zaczynał mówić o pantominie. Uszy Artiomki płonęły. Lasia siedziała obok i dodawała mu otuchy:

— Nie bój się, na pewno będzie dobrze.

Zza kotary ukazał się Samarin; czuć go było gorzałką, ale do tego wszyscy przywykli.

— No, więc tak — powiedział siadając na stoliku po środku areny. — Możemy zaczynać? Wszyscy znają treść pantomimy? Nie? Słuchajcie: Milioner Upton ma dwoje dzieci — Atlę i Johna. Wykrada je słynny porywacz dzieci, Murzyn Dick Bycze Oko. Odważny i sprytny chłopiec znalazł sposób, ażeby uciec, ale Dick dopędza dzieci i bije je okrutnie. Milioner zwrócił się o pomoc do znakomitego detektywa Nata Pinkertona. Detektyw znajduje zbrodniarza i uwalnia dzieci, a Dick ginie na fotelu elektrycznym... A więc zaczynamy. Obraz pierwszy: John i Atla grają w tenisa. Wnuku Szyszki, stań tutaj. Marie, stań naprzeciw. Zaczynajcie!

Zaraz potem Samarin zrywa się z miejsca i krzyczy przerażony:

— Stój! Stój! Co ty robisz?! Co ty robisz?!

— Gram — odparł Artiomka zdetonowany.

— Grasz? Ale w co grasz? W co?

— No, w kości...

— W kości?! O, mój Boże! Ale gdzieżeś to widział, żeby dzieci milionerów amerykańskich grały w kości! W tenisa! Rozumiesz, barania głowo? W tenisa, a nie w kości! W kości grają dzieci szewców, a nie milionerów! Stań tutaj. Patrz, jak będę grać z Marie. Podbijam piłkę. Marie odbija ją. Znowu podrzucam ją. — Marie ziewnęła.

Ku zdziwieniu obecnych Artiomka naśladuje nieźle. Lasia klaszcze w dłonie i cieszy się.

— No, widzisz, widzisz! A nie mówiłam!

— Tak — przytakuje Samarin. — Dobrze. Zupełnie inaczej. Prawidłowo. No i w tym czasie Dick ze swymi wspólnikami przełazi przez ogrodzenie i chowa się w krzakach. Ogrodzenie tutaj. Krzaki tutaj. Pepse, właź!

Pepse wstaje, łyka ze wzburzeniem powietrze i znowu siada.

— Co ci? Jesteś niezdrów? — pyta Samarin.

Pepse chce odpowiedzieć, ale tylko przesuwa dłonią po twarzy.

— No, cóż tobie?

— Pijany — orzeka Samarin. — Albo się w kimś zakochał.

Próba ciągnie się dalej.

Ale co innego grać w tenisa, a co innego przedstawiać maniery syna milionera amerykańskiego. Samarin wymyśla Artiomce od idiotów, od spłaszczonych żab, mówi, że jest głupi jak but. Włosy Artiomki zrobiły się mokre od wysiłków, ale z manier nic nie wychodziło. I nagle Artiomka wytarł sobie nos bez pomocy chusteczki. Na widok tego Samarina aż podrzuciło i zawołał z wściekłością:

— Precz! Precz z areny! Żeby mi tu śladu twego nie było! Zabiję!

Artiomka przerażony wpadł do stajni, gdzie stał koń cyrkowy „Róża". Ale Samarinowi „przeszło" i Artiomkę zawołano znów na arenę.

Gdy wreszcie Samarin oświadczył, że „na dzisiaj starczy", Artiomka przedostał się do pokoju dziadka, położył się na tapczanie twarzą na dół i rozpłakał się. Od czasu, gdy ojciec umarł, nie płakał ani razu, a teraz łzy lały się z oczu i policzki jego stały się mokre. Łkał i wycierał twarz, i nie widział, że nad nim stoi Lasia i żałośnie krzywi wargi. A potem, gdy zobaczył ją, powiedział:

— No, co...? Samaś mnie podbechtała, a teraz się śmiejesz...

— Ja się nie śmieję, co ty! — powiedziała Lasia.

Usiadła na tapczanie, objęła głowę Artiomki i pocałowała go w mokry policzek. I wtedy Artiomka rozpłakał się jeszcze bardziej.

— Ty jesteś zdolny — pocieszała go — tylko nie masz odpowiednich manier. O, w Astrachaniu Johna grał uczeń gimnazjalny. Grał zupełnie źle, ale ruchy miał takie, jak trzeba. A ty wycierasz nos palcami, wciąż wymachujesz kułakiem i drapiesz się w głowę. Dlatego Samarin na ciebie krzyczy.

— A, niech go diabli! — powiedział Artiomka wciąż jeszcze pochlipując. — Niech sobie sam gra Johna, jeśli tak...

— A wiesz co? Chodźmy, zaraz na arenę i sami zrobimy próbę. Tam już nie ma nikogo. Chodźmy.

— Jak to? Bez Samarina?

— A on nam po co? Ja przecież wiem, jak grać tę rolę. Cztery razy brałam udział w tej pantominie. Pójdziemy, co?

Artiomka, spojrzał na nią, po raz ostatni obtarł twarz rękawem i wstał z tapczana.

— Dobrze — powiedział — ale żebyś się tylko nie śmiała...!

Nazajutrz Samarin zauważył, że ruchy Artiomki stały się nie tylko bardzo swobodne, ale i powściągliwsze. Co prawda, gdy szedł po arenie, wciąż jeszcze poruszał łokciami i ramionami, jak gdyby przeciskał się przez tłum, ale już nie drapał się w głowę i nie wymachiwał kułakami. A jeszcze po dwóch dniach przestał nawet poruszać łokciami. Długo nie udawała się Artiomce scena, w której John śmiało i z godnością odmawia napisania listu do ojca z prośbą o wykup. Ale gdy wreszcie i ta scena została opracowana, Samarin nie wiedząc, że obok niego działa i drugi reżyser, zawołał z przechwałką:

— Widzieliście? Ależ ja nawet niedźwiedzia nauczę manier książęcych, a cóż dopiero...

Artiomka nabrał otuchy i poweselał, ale zachowanie Pepse'a niepokoiło go i martwiło. Bo z Pepsem rzeczywiście działo się coś niedobrego. Na próby spóźniał się, a kiedyś nie przyszedł nawet wcale, tak że trzeba było po niego posłać dziadka Szyszkę. Podczas prób poruszał nerwowo ramionami, jakby mu było zimno. Z tego entuzjazmu, z jakim grał rolę Bulby, nie zostało ani śladu. Zmizerniał i jakby nawet schudł. Oczy miał niespokojne i smutne.

„Co to takiego?" — myślał Artiomka.

Słyszał, jak woltyżer Wiliams opowiadał w garderobie artystów, że Murzynów często bez żadnej przyczyny ogarnia „psych"[1]) i że wówczas najlepiej ich nie zaczepiać. Artiomka

[1]) „psych" (po rosyjsku) — zły nastrój.

poniekąd domyślał się przyczyny, ale to, co powiedział Wiliams, zbijało go z tropu. W czasie tych dni, które były przeznaczone na próby, nie udawało mu się prawie nigdy pozostać sam na sam z Pepse'em. Ale pewnego razu zajrzawszy do stajni Artiomka zobaczył, że Pepse stoi przed Różą, głaszcze ją między uszami i coś cicho mówi do konia. Artiomka pomyślał, że Pepse jest chory i zapytał:

— Co ci jest? Czyś niezdrów?

Pepse spojrzał i pokręcił głową.

— Tutaj — pokazał na serce — tutaj bardzo boli.

Chciał coś jeszcze dodać, ale przyszedł stajenny, więc umilkł. A potem Artiomkę i Pepse'a zawołano na próbę. Tak więc Artiomka nie dowiedział się, dlaczego jego przyjaciel tak posmutniał.

WIELKI DZIEŃ. SKANDAL. OWACJE

Artiomka nie wiedział, czego pragnie więcej: żeby ten dzień nadszedł prędzej czy też żeby nie nastał nigdy. Im bardziej się zbliżał, tym większy ogarniał go lęk. W przeddzień długo nie mógł zasnąć; zdawało mu się, że w budce jest osobliwie duszno i że zapach skóry jest wyjątkowo mocny. Potem zaczął padać deszcz i długo wystukiwał po dachu niepokojące melodie. Zasnął dopiero nad ranem, gdy szpary w ścianach zaczynały już bieleć. A gdy się zbudził, miał takie uczucie, jakby nie spał w ogóle i tylko na chwilę zamknął oczy. Ale przez małą dziurkę bił wprost na twarz promień słoneczny i z zewnątrz dochodziło skrzypienie wozów, rozmowy i odgłos kroków. Artiomka odsunął haczyk u drzwi i wybiegł na ulicę. Na ścianie budki wisiał już w słonecznym świetle ogromny żółty afisz, a przez afisz, jakby przez piaski pustyni, biegł straszny Murzyn i ciągnął za ręce dwoje wystraszonych dzieci — chłopczyka i dziewczynkę.

— Och! — i Artiomka aż przysiadł przed afiszem.

Jeszcze wczoraj wieczorem zastanawiał się, czyby nie zwiać. Jeśli go coś powstrzymywało, to tylko obawa przed pogardą Lasi. A teraz zobaczywszy afisz i swoją podobiznę na nim zrozumiał, że już w żaden sposób nie da się wykręcić, chyba że rzucić się do morza.

Dzień ten wydał się Artiomce nieskończenie długi: wprost trudno było uwierzyć, że w jednym dniu mogło się pomieścić tyle rozmaitych wrażeń. Najpierw siedział w ubieralni, gdzie szyto dla niego białe spodnie i białą koszulę. Potem zaprowadzono go do sklepu z obuwiem i kupiono mu białe pantofle. Potem do sklepu z galanterią, gdzie zaopatrzono go w białe skarpetki, chusteczkę do nosa i... krawat, tak, najprawdziwszy krawat — jasnoniebieski z białymi poprzecznymi paskami. Potem udano się do fryzjera. Tutaj Artiomkę ostrzyżono i uczesano z przedziałkiem. Krawiec cyrkowy kazał, aby przedział był na środku głowy i fryzjer długo fryzował niesforne, stojące na jeża włosy, zanim przestały sterczeć. Potem odbyła się próba generalna w kostiumach i perukach. Gdy Samarin ujrzał Artiomkę w białym kostiumie tenisowym, zatrząsł się od śmiechu i zaczął machać rękami, jakby odpędzał osę.

— Oj, nie wytrzymam, oj, nie wytrzymam! — jęczał, potem uspokoił się natychmiast i powiedział rzeczowo do krawca teatralnego: — Tak. Zupełnie przyzwoicie. Zupełnie.

Kiedy próba się skończyła, Lasia podeszła do Samarina i zwróciła mu uwagę, że Artiomka nie powinien się rozbierać, lepiej niech chodzi w tym ubraniu do samego przedstawienia.

— Przyzwyczai się do niego i lepiej będzie się w nim czuł.

Samarin przyznał jej rację i powiedział:

— Niech się nie rozbiera.

Potem Pepse, Skarbonka, Lasia i Artiomka poszli do restauracji na obiad. Skarbonka ma głowę jak dzbanek i kosmate brwi. Opowiada ogromnie śmieszne historie, ale sam się nie

śmieje i spogląda ponuro, nawet jakby rozgniewany i przez to jest jeszcze śmieszniejszy. Fundował Pepse. Stał się weselszy, winszował Artiomce mającego nastąpić debiutu[1]) i wciąż uśmiechał się obnażając zęby zadziwiającej białości.

— Już nie boli tutaj? — spytał Artiomka wskazując oczami na serce.

— O, ja dzisiaj bardzo powiem publik! — Pepse podniósł do góry palce. — Bardzo! Bardzo! — i roześmiał się.

Artiomka chciał zapytać, jak to można „bardzo powiedzieć publik", jeśli w pantominie nie powinno się rozmawiać. Ale w tym momencie, głusząc na chwilę poważne rozmowy i brzęk naczynia, zapiał ochryple i zuchwale kogut: „Ku-ku-ry-ku!" Twarz płatniczego wyciągnęła się, kelnerzy poruszyli się między stolikami, goście rozglądali się ze zdziwieniem. Ale koguta nie znaleźli i wszyscy byli zdumieni.

Potem pojechali dorożką nad morze. Dorożkarz cały czas odwracał się w stronę pasażerów.

Potem pływali łódką. Artiomka siedział przy sterze, a Skarbonka z Pepsem wiosłowali. Słońce odchodziło na spoczynek i na pożegnanie wszystko białe zrobiło się różowe: i koronki obłoczków na horyzoncie, i białe cielsko okrętu angielskiego, i muślinowa sukienka Lasi. Lasia siedziała obok Artiomki. Na jej wiotkiej, jakby przezroczystej szyi Artiomka zauważył małe znamię i na ten widok zrobiło mu się czemuś żal Lasi i zapragnął sprawić jej jakąś przyjemność.

Na morzu jest jasno i cicho. Za burtą szemrze woda. Łódka pędzi szybko i co chwila dogania inne. Nagle blisko, jakby w samej łódce zapiał ochryple kogut: „Ku-ku-ry-ku!" Z innych łódek rozległy się oklaski i śmiech. Widząc, że Artiomka otworzył ze zdumieniem usta, Lasia roześmiała się:

— Przecież to Skarbonka!

---

[1]) debiut — pierwszy występ.

Skarbonka wiosłował gorliwie i ponuro patrzał na zachód słońca.

Potem znowu jechali dorożką i dorożkarz, chociaż już inny, tak samo odwracał się w stronę pasażerów.

Gdy zajechali przed cyrk, płonęły już przed nim jasne latarnie i przy wejściu tłoczyła się publiczność.

Przeżyte wrażenia, solidny obiad i przejażdżka łódką tak zmożyły Artiomkę, że położył się na tapczanie dziadka i zasnął. Tam, po skończeniu swego numeru, Lasia zastała swego ucznia i partnera.

— Artiomka! — załamała ręce. — Ty śpisz! Śpisz, kiedy zaraz masz występ?

Artiomka zerwał się i przestraszony wbił oczy w Lasię.

— Jakżeś mógł zasnąć?! — zdziwiła się. — A może zachorowałeś?

— A gdzie kogut? — Artiomka tarł oczy kułakiem.

— Jaki kogut? Obudź się, Artiomka...!

Artiomka rozejrzał się w osłupieniu i roześmiał się.

— A mnie przed chwilą kogut dziobał w nos.

— Poczekaj, zaraz cię dziobnie w nos Samarin, a nie jakiś kogut. Popatrz, jak zmiąłeś spodnie. Idź prędzej do krawca, niech wyprasuje. I umyj się, ciamajdo!

— „A prawda — myślał Artiomka, idąc przez na pół ciemny korytarz do garderoby artystów — jakżeż mogłem zasnąć? Toż przez całą noc nie mogłem spać ze strachu, a teraz nagle..."

Garderoba jest duża, wspólna dla wszystkich mężczyzn. Wzdłuż szarej ściany — długi, drewniany stół, a przy stole artyści. Jedni przyklejają wąsy z krepiny, inni wyrównują sobie za pomocą kitu nosy, inni wreszcie wciągają peruki. Od jednego do drugiego chodzi Samarin i wymyśla. Na widok Artiomki skrzywił się:

— Szlachetnie urodzony! Syn milionera! Pół dnia pochodził i już banie na spodniach! Kuźmiczu, wyprasuj tego gagatka. Panie fryzjerze, uczesz pan to straszydło.

Jednak Samarin nie tylko wymyśla, ale i chwali.

— Hull — mówi — z pana prawdziwy Pinkerton. Nawet nie potrzeba charakteryzować. Pinkerton, że tak powiem, *naturel*[1]*)*, cha, cha, cha!

Potem podchodzi do Pepse'a i klepie go poufale pa ramieniu:

— O, z tego to pociecha! Murzynisko diabelskie! No, gdzieby można znaleźć drugiego takiego na Dicka Bycze Oko? To diabeł dopiero! Tak właśnie zapowiem publiczności: czarnego rozbójnika gra sam czarny rozbójnik, cha, cha, cha! Naturel, cha, cha, cha!

Pepse, który siedział przed lustrem, nie odwracając się szepnął:

— Ja też powiem publik... ja też powiem publik...

— Co ty tam mruczysz? — nie dosłyszał Samarin i nie czekając na odpowiedź rzekł: — Zrobiłeś się taki jakiś dziwny. Pomylony czy co?

Artiomce posmarowano twarz kremem, podkreślono czarnym ołówkiem brwi i umalowano usta. Miał chęć obetrzeć sobie twarz rękoma, ale opanował się. Do kostiumu też nie tak łatwo przywyknąć, zwłaszcza do krawata: krawat ściskał szyję i Artiomka nie mógł zrozumieć, po co to właściwie potrzebne.

Wszedł dyrektor Grek i powiedział gniewnie:

— Sluchajcie, wi plędko? Publicność stlasnie się niecielpliwi.

— Zaraz, zaraz! — odpowiedział Samarin.

Podszedł do lustra i tak samo pomalował sobie wargi i upudrował się, chociaż w pantominie nie brał udziału.

— No, szykujcie się do wyjścia — rzekł i wyszedł z garderoby.

Artyści ruszyli za nim. Poszedł i Artiomka. W szerokim przejściu wszyscy zatrzymali się.

---

1) naturel — naturalny.

Tam, przed malinową kotarą, oczekiwała już Lasia z piłką i rakietami w ręku.

— Masz — podała jedną rakietę Artiomce. — Ale jakiś ty ładny! No, nie boisz się?

— Boję się — odpowiedział szczerze Artiomka.

Podszedł bliżej i ostrożnie spojrzał przez dziurkę. Boże, przyszło całe miasto! Na górze, na dole, w przejściach — wszędzie przepełnienie. I wszyscy wlepili oczy w niego, patrzą wprost na dziurkę. Artiomka cofnął się od kotary. Dziwna rzecz: na targowicy tak samo gromadził się olbrzymi tłum, zwłaszcza w sobotę — i Artiomka nic sobie z tego nie robił, kiedyś nawet wobec wszystkich zatańczył kozaka. A teraz ze strachu cały lodowacieje.

Muzykanci, którzy grali walca, umilkli. Służba w liberii uchyliła kotarę. Samarin wykaszlawszy się, jakby miał zamiar śpiewać, wyszedł na arenę.

— Co on tam będzie robił? — spytał spokojnie Artiomka.

— Zaraz ogłosi, kto gra jaką rolę — objaśniła Lasia. Samarin wyjął kartkę z bocznej kieszeni.

— Proszę państwa! W dzisiejszej znakomitej pantominie występują najlepsze siły cyrkowe oraz specjalnie zaproszeni artyści. Oto spis biorących udział: Milioner amerykański Upton — Iwan Kreczot, jego córka Atla, młodociana artystka, ulubienica publiczności — mademoiselle Marie; jego syn John — znakomity artysta pantominy, młody Arteme.

— Słyszałeś? Artemé —to on mówi o tobie — szepnęła Lasia.

— Co-o? — oburzył się Artiomka. — Cóż to za jakiś Arteme?

— Ciszej, ty! — szarpnięto go z tyłu.

Pod wrażeniem krzywdy, że ukradziono mu jego własne imię, a w zamian dano przezwisko, Artiomka na chwilę zapomniał nawet o strachu.

Nagle w cyrku rozległy się oklaski: to Samarin oznajmił, że rolę Nata Pinkertona wykona Klemens Hull. Oklaski ucich-

ły. Samarin zatrzymał się i w przeczuciu nowych oklasków krzyknął:

— Rolę głośnego porywacza dzieci, strasznego Murzyna Dicka Bycze Oko, wykona prawdziwy Murzyn, straszny Chamberse Pepse!

— To glupia, bardzo, bardzo glupia! — usłyszał Artiomka za sobą.

Gdy Samarin ukłonił się i odprowadzony burzą oklasków podszedł do kotary, Artiomka uczuł nagle, że cały lodowacieje. I zaraz usłyszał głośny szept:

— Atla, John, na arenę!

Kotara uchyliła się i Artiomka momentalnie stanął na widoku wszystkich. Olbrzymi tysiącooki potwór patrzał na niego i oczekiwał w milczeniu. Artiomka westchnął głęboko i złapał się rękoma za rąbek kotary, ale z tyłu wprost do ucha wbił mu się świszczący szept:

— Co ty robisz, tsss... Rzuć kotarę! Na arenę!

Artiomka obejrzał się. Wykrzywiony ze złości stoi za nim Samarin i palec wskazujący chce mu wetknąć wprost w oko.

Nagle między Artiomką i Samarinem mignęła rakieta tenisowa. Samarin krzyknął i cofnął rękę. Artiomka nie zdążył jeszcze zorientować się, co zaszło, jak Lasia schwyciła go za rękę i szybko pociągnęła na arenę. I dziwna rzecz, Artiomka jakby stracił wagę. Z niezwykłą lekkością, nie odczuwając ciężaru ciała, wybiegł za Lasią i stanął na swoim miejscu. Pantomina zaczęła się.

Później Artiomka wspominał nieraz tę chwilę i wciąż się dziwił, gdzie się wtedy podział jego strach. Od momentu gdy ukazał się na zalanej światłem arenie pod obstrzałem tysięcy skierowanych w niego oczu, wszystko w nim zaostrzyło się niezwykle: uwaga, wzrok, pamięć. Nawet pośpiech, za który strofował go na próbach Samarin, zniknął i ustąpił powściągliwości w ruchach. A przy tym wszystkim Artiomka miał

szum w uszach i dziwne uczucie, jakby wykonywał swe czynności nie sam, ale poruszany jakąś nieznaną siłą. Samarin, który wysunął nos zza kotary, mruczał:

— Hm... zupełnie dobrze... Zadziwiające!

Ale Artiomka tego nie słyszał. W dalszym ciągu latał w jakiejś huczącej od światła przestrzeni i opamiętał się dopiero wtedy, gdy Dick Bycze Oko cisnął na niego worek i przerzucił go przez płot. Ale tam za kotarą to już nie był Dick Bycze Oko, tylko Chamberse Pepse. Ściągnął z Artiomki worek, postawił debiutanta na nogi i powiedział z zachwytem:

— O, ty bardzo dobrze grać swój rol! Ty być bardzo dobry artysta!

Podszedł i Samarin. Poklepał Artiomkę po plecach i pochwalił:

— Zuch! Bardzo dobrze!

Artiomka słuchał i uśmiechał się zakłopotany. Miał takie wrażenie, jakby dopiero co przepłynął głęboką rzekę, a przedtem nie wiedział nawet, że umie pływać.

Lasia nie odstępowała go. I była taka dumna, jakby to ją chwalono, a nie Artiomkę.

Artiomka miał ochotę powiedzieć jej coś miłego, serdecznego, ale nie znajdował odpowiednich słów.

W drugim obrazie Pepse, Artiomka i Lasia nie brali udziału. Stali przy kotarze i przyglądali się przez dziurki. Teraz grał Hull z Iwanem Kreczotem. Hull łaził po arenie i szukał śladów, przy tym wszystko, cokolwiek mu trafiło do ręki, oglądał przez lupę, a Kreczot chodził za nimi, chwytał się za głowę przedstawiając rozpacz ojca.

Kiedy zaczął się trzeci obraz i Artiomka znowu wybiegł na arenę, już mu nie szumiało w uszach i nie miał poprzedniego wrażenia, że porusza nim jakaś obca siła. W tym obrazie John i Atla, zamknięci w stodole na fermie, usiłują uwolnić się i Artiomka z tak bezpośrednią szczerością oddał pomysłowość

chłopca, że z ławek co chwila zrywały się burzliwe oklaski. Co prawda, nie był to mimo wszystko syn milionera, tylko zwyczajny chłopiec, którego dotknęło nieszczęście, wzruszający i ciekawy. Ale to właśnie podbijało publiczność. Tak samo podobała się Lasia, chociaż gra tej pełnej wdzięku dziewczynki była w zupełnie innym rodzaju.

Ale widać było, że największe powodzenie miał Hull. Udało mu się przedstawić Nata Pinkertona takim, jakim wyobrażała go sobie publiczność na podstawie niezliczonych zeszytów z „Przygodami znakomiteg. detektywa".

Co się tyczy Pepse'a, ten starał się sumiennie, jak go uczył Samarin, przybierać okrutny wyraz twarzy. Ale w scenach zbiorowych z dziećmi często zapominał o tym i twarz jego zamiast okrucieństwa przybierała wyraz dobroduszności. Przyłapywał się na tym, chmurzył czoło i zaciskał mocno wargi, aby za chwilę w najnieodpowiedniejszym miejscu znowu się uśmiechnąć. Publiczność, która spodziewała się, że zobaczy potwora, była zdumiona i podrwiwała.

Na ogół jednak pantominę grano z werwą, publiczność często klaskała i Samarin układał już w myślach treść nowego afisza o nowym przedstawieniu „na żądanie publiczności", kiedy nieoczekiwanie dla wszystkich wybuchł skandal.

Do dziewiątego obrazu wszystko rozwijało się jak należy. Dzięki sprytowi Johna dzieciom udaje się uciec. Dick Bycze Oko rzuca się za nimi w pogoń. Osłabiona Atla pada z wycieńczenia. John bierze ją na ręce, ale już nie może uciekać tak prędko. I oto w polu porosłym kukurydzą dopada ich straszliwy Murzyn. Rzuca się na dzieci i zaczyna je bić okrutnie.

I Pepse rzeczywiście wymachiwał okropnie kijem, aby wyglądało, że z całej siły bije Johna i Atlę. Ale nagle odłożył kij i zwrócił się spokojnie do publiczności.

— Szanowny publik — powiedział — jeden maleńka minuta uwagi!

Po dziewięciu obrazach, granych bez żadnego słowa, głos, który nieoczekiwanie rozległ się z areny, poderwał wszystkich z miejsca.

— Szanowny publik — ciągnął Pepse z uśmiechem — to bardzo zli pantomin. W ten pantomin wiele, wiele biali czlowiek, a czarny tylko jeden. Wszystki biali czlowiek dobra, a czarny zla, gorszy jak zla diabla. Szanowny publik to nieprawda.

W cyrku rozległ się świszczący szept:

— Pepse! Na miejsce!

Pepse odwrócił się i spojrzał na wykrzywioną twarz Samarina.

— Jedna minutka — powiedział i znowu zwrócił się do publiczności: — Czarny bardzo lubi dzieci. Czarny nie lubić, kiedy bić mali czlowiek. Ja bardzo lubić Artiomka, ja bardzo lubić Lasia. Ja kochać jak swój syn, jak swój córka. Ja...

Samarin wyskoczył zza kotary i głusząc głos Pepse'a zawołał:

— Gramy dalej!

Ale i to nie pomogło.

— Jeden minutka — znowu powiedział Pepse i ciągnął dalej: — Szanowny publik, ja bardzo chciala mieć swój chlopczyk...

— Będziesz ty cicho! — krzyknął Samarin, który stracił cierpliwość.

Ale wtedy z góry ktoś spokojnie powiedział:

— Niech mówi. Widać nagromadziło mu się na sercu...

I nagle ze wszystkich stron galerii zaczęto krzyczeć:

— Niech mówi! Nie przeszkadzać! Mów, Pepse, mów wszystko! Samarin, odsuń się! — rozlegały się głosy z galerii.

Pepse przyłożył z wdzięcznością rękę do serca, ale nie zdążył otworzyć ust, gdy z loży policmajstra rozległy się skandowane okrzyki:

— Nie roz-ma-wiać! Nie roz-ma-wiać! Nie roz-ma-wiać z publicznością... Milczeć!

Pepse wystraszony odwrócił głowę: duża siwa broda to podnosiła się, to opadała na biały kitel ze złotymi guzikami. To policmajster.

Pepse cofnął się o krok i spojrzał na Artiomkę, jakby zapytywał: „Co takiego? Czemu on krzyczy? Czy zrobiłem coś złego?“ I to spojrzenie, zakłopotane i zdumione, napełniło serce Artiomki gorącą litością dla starego, dużego i naiwnego przyjaciela.

O, Artiomka wiedział, co to jest policja i jak krzywdzi ludzi.

— Słuchaj pan, panie władza — rzekł wysunąwszy się przed Pepse'a — czemu się pan przyczepił do człowieka? Przecież on mówi prawdę. A jeśli pan nie wierzy, proszę zapytać ludzi. On jest dla mnie taki dobry, jak ojciec. My razem chodzimy na byczki. On nawet przychodzi na targowicę do mojej budki i siedzi u mnie. A pan krzyczy, jak nie wiem kto...!

— Oj, toż to Artiomka! — zawołał ktoś z galerii. — Jak Boga kocham, to Artiomka! To nasz szewc z targowicy...!

Czy mógł Artiomka przypuszczać, jaki skutek wywrą te słowa?

Policmajster, którego wobec całej śmietanki miejskiej nazwano „panem władzą“, omal nie udusił się z gniewu i tak zatrząsł brodą, że wyglądało, jakby się miała oderwać i polecieć pod kopułę cyrku. Publiczność, poznawszy w synie miliONera — szewca, zaszemrała ze zdumienia, galeria zaczęła krzyczeć radośnie, klaskać w dłonie.

Zanosiło się na wielki skandal.

Poruszając wąsikami i przytrzymując szablę, do loży policmajstra pośpiesznie przeciskał się naczelnik policji, z góry schodził dzielnicowy i z przejść ruszyli ku barierze policjanci. Na galerii zaczęto gwizdać. Ktoś z góry cisnął arbuzem, który pękł i rozpadł się na kawałeczki pod nogami jakiegoś policjanta. Przerażony Pepse rozglądał się bezradnie i nie wia-

domo, jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie wmieszała się Lasia. Nieoczekiwanie skoczyła naprzód, rozsunęła ramiona, jakby wszystkich chciała nimi objąć, i uśmiechnęła się czarująco. Wszyscy zamilkli ze zdumienia. Nawet broda policmajstra przestała podskakiwać.

— A mnie to Pepse nosił na rękach, kiedy w Odessie zwichnęłam nogę — powiedziała Lasia z prawdziwie kobiecą figlarnością. — No, teraz, kiedy już wszystko się wyjaśniło, będziemy grać dalej. Niech pan siada! — zawołała w stronę naczelnika policji. — Niech pan nie przeszkadza publiczności!

Potem pobiegła na swoje miejsce i zasłoniła twarz rękoma, przedstawiając rozpacz Atli.

I pantominę rzeczywiście zaczęto grać dalej. Dzielnicowy znowu wrócił na górę, naczelnik policji usiadł tam, gdzie go zastało wezwanie Lasi, policjanci odeszli w głąb przejść, a na galerii przestano zaciskać pięści.

Ale ostatni obraz, w którym Dicka stracono na fotelu elektrycznym, nie wywołał żadnego wrażenia, ponieważ nikt już nie wierzył, że Murzyni w Ameryce porywają dzieci. Przestano się też interesować Natem Pinkertonem. Obrażony Hull nie wyszedł nawet, gdy rozległy się oklaski publiczności.

Za to Pepse'owi i Artiomce urządzono prawdziwą owację. Loże i dolne ławki były już puste, na arenie zaczęto gasić latarnie, a na galerii wciąż jeszcze nie chciano się rozchodzić, klaskano w dłonie i wywoływano donośnie:

— Pe-epse! Ar-tiom-ka-a!

O B I E T N I C A

Najbardziej nieoczekiwanym skutkiem skandalu w cyrku było nagłe pojawienie się u Artiomki mnóstwa klientów. Przychodzili to z butami, to z trzewikami — majstrzy, tragarze, subiekci i nawet biuraliści.

I każdy uważał za obowiązek zapytać:

— Co słychać? Czy nie macie zamiaru wystawić „Hrabiego Monte Christo?"

Albo:

— Cóż, brachu, będziesz jeszcze „pantominić"? Ależ ty to robisz!

I wszyscy przepowiadali:

— Będziesz, Artiomka, artystą. Widać to po tobie.

Artiomka przeciągał dratwę, stukał młotkiem i myślał: „Kto wie, może naprawdę zostanę aktorem. Żeby tylko..."

Nazajutrz po przedstawieniu już do obiadu uzbierało się w jego blaszanym pudełku dziewięćdziesiąt kopiejek. Poczekał na moment, gdy nikogo z klientów nie było, i skoczył naprzeciwko do budki, gdzie pracował stary Pietrowicz.

— Dziadku — spytał Artiomka — czyście czasem nie słyszeli, z jakiego materiału noszą pantofelki córki cesarza?

Pietrowicz zmarszczył czoło, pomyślał i rzekł:

— Chyba safianowe. A od święta — brokatowe.

— A jeśli jeszcze lepsze, to jakie wtedy?

— Wtedy? — Pietrowicz pomyślał znowu. — No, wtedy... hm... tak samo brokatowe.

— A gdzież ten brokat sprzedają? — dopytywał w dalszym ciągu Artiomka.

— Tutaj, chłopcze go nie ma. W Rostowie u Kozłowa, tak, tam jest. A tutaj nie ma. A na co ci brokat? Czy cesarz przysłał zamówienie z Petersburga?

— Właśnie, właśnie — powiedział Artiomka

Wrócił do budki i stukał młotkiem dopóty, dopóki nie zobaczył, że zgięty prawie we dwoje przesuwa się przez drzwi Pepse, a zza jego pleców z ciekawością wygląda Lasia.

— O-o! — rzekł Pepse. — Artiomka pracować.

— O-o! — powtórzyła z szacunkiem Lasia i pokręciła głową.

— Patrzcie! — Artiomka potrząsnął pudełkiem z pieniędzmi — tyle dzisiaj zarobiłem.

— O-o-o-o! — rzekli przeciągle Lasia i Pepse razem.

— Chodźmy na obiad — powiedział Artiomka. — Do jadłodajni. Ja funduję.

Jadłodajnia była obok, na targowicy. Usiedli przy długim, niemalowanym stole pod daszkiem, z przyjemnością napili się barszczu z misek i zjedli słoninę z chrzanem. Potem Artiomka pobiegł do sklepiku i przyniósł dwie butelki zimnego kwasu chlebowego. Częstował nalewając do szklanek. I wszyscy byli bardzo zadowoleni.

Po obiedzie Lasia zaproponowała, żeby pójść nad morze i łowić byczki. Artiomka zrazu zgodził się skwapliwie, ale potem powiedział:

— Nie, nie mogę. Trzeba dokończyć pracy. A potem wziąć nową. Nie mogę w żaden sposób!

Umówili się na wieczór w cyrku.

Przy pożegnaniu Pepse powiedział, że pojedzie wkrótce do Moskwy, a w Moskwie jest taka szkoła, gdzie uczą dziewczęta i chłopców grać role. I kto się pouczy w takiej szkole, ten będzie bardzo dobrym artystą. I tam, w Moskwie, Pepse powie, żeby Artiomkę przyjęto do szkoły.

Potem Pepse wyjął płaski zegarek ze srebrną tarczą i podał go oniemiałemu ze zdziwienia Artiomce.

— To być mój prezent — oświadczył.

Artiomka zmrużył oczy, potem wybuchnął śmiechem, potem podskoczył do góry i puścił się przed budką w „prysiudy".

NIEOCZEKIWANA KOMPLIKACJA

Przez trzy doby Artiomka prawie nie wychodził z budki. Coś go trapiło. Źle sypiał, ale gdy tylko się zbudził, zabierał się do roboty i siedział do nocy. Wciąż obawiał się, że to zainteresowanie nim może w każdej chwili ustać i znów pozostanie bez pracy. Wreszcie blaszane pudełko napełniło się mo-

netami prawie po brzegi. Artiomka zamknął je pokrywką i wsunął do kieszeni. Potem zamknął budkę i pobiegł na dworzec. Do stacji było blisko, ale gdy Artiomka przecinał plac, skronie mu pulsowały, a oddech miał przyśpieszony i gorączkowy.

Na stacji Artiomka dowiedział się, że pociąg do Rostowa odchodzi dopiero za dwie godziny. Szkoda: tyle czasu zmarnuje! Usiadł na ławce i czekał. Aby się nie nudzić, wyjął pudełko i zaczął liczyć pieniądze. Ale dokoła kręcili się podejrzani ludzie o złodziejskich oczach. Artiomka przestał więc liczyć i znowu schował pudełko do kieszeni. Wciąż jeszcze było mu ciężko oddychać i oczy nie wiadomo czemu łzawiły. Artiomce chciało się spać, ale bał się złodziei i z wysiłkiem otwierał ociężałe powieki. Gdy rozległ się dźwięk dzwonka, stanął w kolejce przy kasie, a potem pobiegł wraz z innymi na peron do pociągu. Było mu trochę lżej. Lecz gdy tylko zastukotały pod nim koła i wszystko popłynęło do tyłu, ogarnęła go znowu senność.

Naprzeciw niego siedział chłop z czarną brodą, do której wplątały się kawałeczki słomy; chłop palił machorkę. Siwy dym snuł się po wagonie, przedostawał się do gardła Artiomki i dusił go. Artiomka przesiadł się dalej, oparł się w kąciku plecami o ścianę i zaczął drzemać. Dopóki jechał, wciąż majaczyła przed nim parowa młockarnia, wypuszczająca rdzawy dym i terkocząca pośpiesznie.

Gdy Artiomka otworzył oczy, w wagonie nie było już nikogo: za oknem biegli ludzie. Na plecach mieli worki. Numerowi z miedzianymi blaszkami na białych fartuchach wieźli wózki i ktoś głośno krzyczał: „Kwas, zimny kwa-as!“ Artiomka wyszedł z wagonu. Przed nim stał człowiek w czerwonej koszuli, z ogromną karafką w ręce. W karafce pływały plateczki cytryny i lód. Artiomka wypił chciwie dużą szklankę napoju i pobiegł przez szyny w stronę dworca.

W ogromnej sali ludzie siedzieli na ławkach, na walizkach, a nawet na podłodze. Numerowi śpieszyli się gdzieś i przechodzili wprost przez śpiących.

Artiomka zapytał kilku, gdzie można nabyć brokatu na pantofle, ale ludzie wzruszali ramionami albo nie odpowiadali zupełnie.

Na placu Artiomka zobaczył małe żółto-czerwone wagoniki. Podjeżdżały same bez lokomotyw i zabrawszy pasażerów ginęły za zakrętem. Artiomka wsiadł do wagoniku i wkrótce zobaczył po obu stronach szyldy. Wtedy wyszedł z wagonu i zaczął chodzić po sklepach dopytując się o brokat na pantofle.

Wreszcie w jednym sklepie, gdzie sprzedawano obrazy święte i świece, pokazano mu materiał aksamitny, przeszywany srebrnymi nićmi, ale przy tym powiedziano, że służy on do wyrobu ornatów, a nie pantofli. Artiomka uśmiechnął się tylko. Odmierzył palcami tyle, ile było trzeba, kazał odciąć i zawinąć. Potem już bez trudności znalazł sklep z wyrobami skórzanymi i kupił kawałek cienkiego i miękkiego jak masło szagrynu[1]).

Na dworzec Artiomka wracał piechotą. Męczyło go pragnienie, podniebienie miał wysuszone i zatrzymywał się prawie przed każdą budką z kwasem.

W drodze napotkał sklep z galanterią. Zatrzymał się znowu i długo oglądał przez lustrzaną szybę witryny brązowe i czarne pugilaresy. Potem rozwinął szagryn i porównał go ze skórą pugilaresów. Porównał i, choć miał silny ból głowy, uśmiechnął się: nie, pugilares jego będzie daleko lepszy od tych na wystawie, takiego Pepse nigdzie nie znajdzie, nawet w Moskwie.

Nareszcie i dworzec. Ludzi mnóstwo. I dokąd to oni wszyscy jadą? Z workami, kuferkami, z koszami, z dziećmi .. Od hałasu i płaczu dzieci głowa rozbolała go jeszcze bardziej A mówili, że pociąg odjeżdża tylko w nocy. Do wieczora było najmniej sześć godzin.

---

1) szagryn — ozdobnie wyprawna skóra, drobno groszkowana.

Artiomka szukał sobie miejsca, ale wszystko było zajęte. A stać nie miał siły. I wtedy zobaczył, że spod ławki wyłazi jakiś obdarty chłopiec. Artiomka przykucnął i zajrzał pod ławkę. Było tam pusto i nawet jakby zacisznie. Odsunął czyjeś zwisające nogi i wlazł pod ławkę. Wsunął sprawunki pod koszulę i jedną ręką przycisnął je do piersi, a drugą podłożył sobie pod głowę. Myślał, że jak poleży trochę, to głowa przestanie go boleć. Tylko nie trzeba spać, żeby nie przegapić pociągu. No i mogą raz-dwa okraść — w Rostowie dość andrusów. Ale zaledwie zamknął oczy, jak ujrzał chłopa ze słomą w brodzie. Chłop nachylił się i zaczął oddychać wprost w twarz Artiomki. „Odejdź! — powiedział Artiomka. — Gorąco mi, odejdź!" Chłop odsunął się i powiedział coś gniewnie, a potem włożył dwa palce do ust i gwizdnął przeraźliwie jak rozbójnik.

Artiomka przeląkł się, ale chłop wybuchnął śmiechem, wskoczył na białoróżową świnię i pomknął huśtając nogami. Potem długo nic nie było, tylko ktoś cieniutko jak komarek płakał nad samym uchem. A później przyszedł sąsiad Pietrowicz i zaczął tarmosić Artiomkę. Artiomce nie chciało się wstać i mruknął, żeby Pietrowicz go nie ruszał. Ale w tej chwili ławka zatrzęsła się, zastukały pod nią koła i gdzieś pojechała.

Gdy Artiomka otworzył oczy, z początku nic nie rozumiał: obok stały łóżka, a w łóżkach leżeli bladzi ludzie okryci prześcieradłami. Jedni spali, inni patrzyli w sufit, a inni zgrzytali zębami i mruczeli coś z zamkniętymi oczami. Na sąsiednim łóżku leżał czarnowłosy chłopak z czerwoną jak po łaźni twarzą. I on też miał oczy zamknięte i krzyczał bez przerwy:

— Tatusiu, trzymaj się grzywy...! Tatusiu, trzymaj się grzywy...!

Sam Artiomka tak samo leżał na łóżku i miał taką samą nocną koszulę, jak i wszyscy. „Jakżeż ja się tutaj dostałem? — pomyślał. — Przecież to szpital".

Potem przypomniał sobie, że leżał na dworcu pod ławką i przestraszony zaczął szukać rękoma po łóżku. Kobieta w białym fartuchu podeszła do niego, wzięła go za ramiona i położyła na poduszce.

— Ciociu — powiedział Artiomka żałośnie — a gdzie jest mój brokat?

Kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Brokat! — powiedziała szeptem. — Że też coś takiego może przyjść do głowy...!

Wtedy Artiomka zasłonił twarz rękoma i rozpłakał się.

Kobieta nachyliła się, odsunęła ręce i spojrzała na mokrą od łez twarz.

— Ale tobie naprawdę wróciła przytomność? — zdziwiła się.

— Wróciła, ciociu — powiedział pochlipując Artiomka.

— No, to dlaczego płaczesz? Wróciłeś do przytomności, to znaczy, że będziesz żyć...

— Ciociu, przepadł mi brokat... O, tu miałem, pod koszulą. Brokat i szagryn.

— Ach, ty! — powiedziała kobieta. — A ja myślałam, że bredzisz. No, nie płacz, może ci nie zginął. Zaraz przyjdzie zarządzająca bielizną, to ją zapytamy.

— Zapytaj, ciociu — prosił Artiomka. — A ja za to zreperuję kamasze albo co innego.

— A bodaj cię! — roześmiała się kobieta. — Tobie właściwie według regulaminu rozmawiać nie wolno, a tym bardziej: „zreperuję".

Rano przyszła zarządzająca bielizną i przyniosła brokat i szagryn. Artiomka uradowany schował wszystko pod materac.

Po kilku dniach Artiomka opuścił szpital.

Wychudzony i blady przyjechał Artiomka do swojego miasta. Czuł się bardzo osłabiony i odpoczywał z dziesięć razy, zanim dowlókł się do swej budki. A na domiar złego zgubił jeszcze klucz — z pewnością został pod ławką. Trzeba było zawołać Pietrowicza, aby wspólnie odbić zamek.

— Gdzieżeś się podziewał? — spytał Pietrowicz. — Zmizerniałeś straszliwie.

— A nie wiecie? — uśmiechnął się Artiomka. — Przecież tarmosiliście mnie pod ławką.

Pietrowicz spojrzał, pokręcił głową i nic nie odpowiedział. A Artiomka położył się na ławce i zasnął. Spał do samego wieczora. A przed samym obudzeniem miał sen. Bardzo przyjemny sen. Że niby idzie ulicą nadbrzeżną, a przy nim Lasia, i Lasia ma brokatowe pantofelki. I Pepse jest tak samo, idzie z drugiej strony. Idzie i całkiem poprawnie, zadziwiająco poprawnie, mówi: „Oto przyjadę do Moskwy i przyślę ci list. I będziemy, braciszku, mieszkali razem. I uczyć się będziemy razem“. A Lasia wciąż patrzy na pantofelki. A kiedy usłyszała słowa Pepse‘a rzekła tak samo: „Widać i ja również muszę jechać z wami, bo Artiomka mógłby beze mnie zachorować“. I roześmiała się. I wtedy roześmieli się wszyscy i pobiegli do zielonej budki napić się kwasu.

Artiomka obudził się, zapalił lampę i naprędce się oporządził: umył się, uczesał, oczyścił. Potem odciął od gazety długi pasek, aby mieć czym wziąć miarę Lasi, i poszedł do cyrku.

Szedł i myślał, że oto za chwilę zobaczy Pepse‘a. Pepse roześmieje się, porwie go na ręce jak malca i podrzuci do góry. A potem będzie kręcił kędzierzawą głową i wpadał w przerażenie słuchając, w jakich to opałach znalazł się Artiomka w Rostowie. A potem nadbiegnie Lasia i też się przerazi. A może Lasia skończyła swój numer i poszła? Nie, niemożliwe, zawsze

czeka na Skarbonkę, a Skarbonka występuje w ostatnim numerze. Ech, szkoda, zabrakło pieniędzy, kupiłby bułkę, kiełbasy i pomidorów i całe towarzystwo przekąsiłoby w pokoju dziadka. I co to była za choroba, po której się ma taki apetyt?

Artiomka skręcił za węgieł i stanął zdumiony: „Co takiego? Zbłądziłem czy co?"

Zwykle tutaj za zakrętem padało olśniewające światło latarni, a teraz przed nim były ciemności. Ale przecież to ten sam plac: po środku, zasłaniając gwiaździste niebo, ciemnieje okrągłe cielsko cyrku. Ale dlaczego tak ciemno i pusto? Ani latarni, ani straganów z cukrem lodowatym i rachat-łukum[1]), ani chłopców, którzy zawsze się tu kręcą, krzyczą i gwiżdżą.

Artiomka ruszył powoli naprzód. Zląkł się. Czuł nawet ucisk serca. Podszedł cichutko do bramy cyrkowej i zaczął się rozglądać. Na ścianach wisiały po dawnemu afisze, ale wszystko zlewało się w bezkształtne plamy i nie można było nic przeczytać. Artiomka pociągnął za skobel od bramy. Brama skrzypnęła, ale nie ustąpiła. Artiomka postał chwilę, pomyślał i poszedł wzdłuż ściany. Ale w którąkolwiek szparę zajrzał, wszędzie było ciemno, jakby cyrk cały zasypano węglem. Wtedy Artiomka przypomniał sobie, że z pokoju dziadka wychodzi na zewnątrz okienko. Pobiegł naokoło, spojrzał w górę — żaluzja na oknie przeświecała lekko.

— Dziadku! — krzyknął Artiomka uradowany i zastukał pięścią w ścianę.

— Kto tam? — dał się natychmiast słyszeć głos zza ściany. Głos był daleki i przytłumiony, ale niewątpliwie należał do dziadka.

— Dziadku, to ja! — ucieszył się jeszcze bardziej Artiomka.

— Artiomka czy co? — rozległo się wewnątrz.

— No, tak, Artiomka! Otwórz, dziadku, prędzej.

---

[1]) rachat-łukum — wschodni przysmak.

— Idź tylnym wejściem, słyszysz? Tylnym wejściem! Zaraz otworzę.

Dziadek wyszedł z latarnią, oświetlił twarz Artiomki i powiedział:

— Wróciłeś? A myślałem, że zostaniesz na wsi u ciotki.

— U jakiej ciotki? Coś ty, dziadku! Ja byłem w szpitalu.

— W szpitalu? — zdziwił się dziadek. — Jakże, coś takiego!

Dziadek wyobraził sobie, że Artiomka wyjechał na wieś do ciotki, i tak długo wszystkich o tym zapewniał, aż sam w to uwierzył.

— Dziadku, dlaczego to wszystko jest pozamykane i latarnie zgaszone?

— A po co się mają świecić? Oprócz mnie nie ma tu nikogo. A mnie publiczność już widziała. Choćby jej nawet, na ten przykład, zapłacić, i tak by nie chciała oglądać.

— Jak to... nie ma nikogo... — Artiomka spojrzał zaniepokojony na twarz dziadka. — A gdzie się wszyscy podziali?

— Aktorzy? A kto ich tam wie! Pojechali widocznie gdzieś do innego cyrku.

— I... — Artiomce zaparło oddech. — I Pepse pojechał?

— Pepse? Pepse, bracie, zwiał stąd najprędzej... Ale ty, jak widzę, o niczym nie wiesz. No, chodź, opowiem ci, pójdziemy do mego apartamentu.

Przez znajomy korytarz, teraz taki pusty, przeszli do pokoju dziadka i usiedli na tapczanie.

— Widzisz, jak się rzecz przedstawia — powiedział dziadek. — Kiedyś ty jeździł do ciotki... to jest... kiedyś, na ten przykład, chorował, tutaj znowu wystawiano „Bulbę". Tylko tym razem Bulbę grał nie Pepse, ale wujek Wasia. A Pepse nie dostał żadnej roli. Tak... No, więc Pepse oczywiście zasmucił się. Chodził nieswój. A tymczasem jeszcze tyś się zapodział. Pójdzie nieraz na targ, pochodzi naokoło budki i — znowu do mnie: „Gdzie jest Artiomka?" Widzę, że człowiek się niepokoi,

i mówię mu: „Twój Artiomka pojechał na wieś, do ciotki, a jak się ta wieś nazywa, nie pamiętam“. Tak... A tymczasem i turniej zapaśniczy dobiegał końca. Calvini mówi do Pepse‘a: „Pamiętaj, żebyś mi nie spłatał jakiegoś figla, bo zrobiłeś się zupełnym wariatem. Żeby jutro u was z Hullem wypadła nierozegrana. Będziesz walczył godzinę, potem zaczniesz utykać i wycofasz się z walki“.

— Pepse jest silniejszy od Hulla! — nie wytrzymał Artiomka.

— A więc posłuchaj. Gdy tylko rozlepiono afisze, publiczność do kasy: pchają się, wymyślają, złamali balustradę. I tego dnia sprzedano tyle biletów, że ludzie stłoczyli się nawet wśród orkiestry, jak Boga kocham, siedzieli razem z muzykantami. Tak... No, więc wyszli oni, Pepse i Hull, ukłonili się. Publiczność, jak się należy, oklaskuje. Oczywiście kwiaty i tak dalej. Calvini powiedział, co trzeba, i odszedł na stronę, gwizdek trzyma. I tutaj, bracie, stało się coś takiego czego jak żyję nie widziałem. Hull nie zdążył nawet mrugnąć okiem, jak Pepse podniósł go nad głowę, pokręcił jak młynkiem — i wprost na obie łopatki, w jednej sekundzie, rozumiesz? Hull zaczął się rzucać, ale gdzie tam! Pepse jak gdyby go przybił gwoździami. Publiczność patrzyła z zapartym tchem — wszyscy oniemieli. A Pepse odwrócił głowę do Calviniego i mówi: „Gwizdek!“ Calvini rozłożył ręce i stoi jak bałwan. „Gwizdek!“ — powtarza mu Pepse. Ten stoi, wytrzeszczył oczy. A wtedy publiczność oprzytomniała i jak nie hukną oklaski...! Myślałem, że się kopuła zawali. Widzi Pepse, że Calvini nie chce gwizdać, skoczył, wyrwał mu gwizdek i sam gwizdnął. Publiczność wybuchła śmiechem, krzyki. gwizdy — po prostu wszyscy oszaleli. Hull skoczył czerwony jak burak i bu-uch Pepse‘a pięścią! A Pepse podniósł rękę do góry i mówi: „Hull nie jest zapaśnik. Hull jest chuligan, na szmelc!“ Jak Boga kocham, tak właśnie powiedział: „Na szmelc!“ Potem odwrócił się i poszedł.

I dziadek zaczął opowiadać, jak przed pięciu laty tak samo walczył Turek z championem świata Caradierem i jaki to wtedy był skandal. Ale Artiomka już nie słuchał. Siedział na tapczanie z pochyloną głową i było mu tak smutno, czuł się taki samotny, jak gdyby na całym świecie, tak samo jak i w tym cyrku, nie pozostało ani żywej duszy.

— Dziadku — powiedział — ja będę przychodził przynajmniej do ciebie. Smutno mi.

— Cóż, przychodź — zgodził się dziadek. — Przychodź, nie mam nic przeciwko temu. Pewno, człowiekowi samemu smutno...

I nagle przypomniał sobie:

— Prawda, mało co nie zapomniałem...! Tej nocy przecież Pepse wstąpił do mnie, wtedy właśnie, kiedy położył Hulla. „Co takiego — mówię mu — mój kochany?“ A on do mnie: „Panie Szyszka! (Tak właśnie powiedział, jak Boga kocham!) Panie Szyszka, ja zaraz odjeżdżać z to miasto. Powiedzieć wasz wnuk: ja bardzo dobrze pamiętać swe slowo“. I tak mi, bracie, uścisnął rękę, że aż jęknąłem... Stój, przypominam sobie jeszcze! Ta, jak ona się nazywa... No, ta, co chodziła po linie... Lasia czy co? Więc i ona przyszła się pożegnać. I tak samo prosiła: „Powiedz — mówi — Artiomce, że ja do niego napiszę“. Zrozumiałeś? To znaczy, list...

— Dziadku! — krzyknął Artiomka. — I czemuś nie powiedział tego od razu? Takie słowa, a ty milczałeś...!

— No, zapomniałem — powiedział dziadek. — Wiesz, stary już jestem. Co było dawno — pamiętam, a to, co teraz, nie trzyma się głowy, choćby nie wiem co...

— Ach, dziadku, dziadku...! — powiedział Artiomka z serdeczną wymówką. Położył rękę na dłoni starca i powiedział z całego serca: — Daj, ja ci drugi but zreperuję. Widzisz, jaka dziurka...!

KONIEC

SPIS TREŚCI

CENA 75 GROSZY

